



Foto: W. Parys

W NUMERZE: Są mieszkania, ale niezupełnie ■ Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie — polemiki ■ Gdzie leży prawda o Józefie Piłsudskim ■ A miało być piękne

życie... ■ O związkach zawodowych pisze Lucjusz Włodkowski, o monarchiach Henryk Sroczyński, o łódzkim cmentarzu Dariusz Dorożyński ■ Stała kolumna SF

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 11 (1264) ROK XXV

18 CZERWCA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

NASZ SPECJALNY WYSLANNIK ODLECIAŁ DO HISZPANI

Tomaszewski, instancja ostatnia

1

Gdy ten reportaż ukaże się w druku będę już w La Corunii. Ale na razie jest Łódź. Siedzę w blokowym mieszkaniu Jana Tomaszewskiego, przy drugiej stronie baru, który ma swoje przyjemne, szklane akcenty, jest jednak na tyle szeroki, że można również notować. Pociągam ze smakiem tyk scotcha i reperuję długopis.

2

Mamy rozmawiać o Hiszpanii i jej obyczajach, o corridzie i futbolu, ale wszystkie te plany momentalnie biorą w łeb. Rozmowa pęka w stu różnych kierunkach — Malwina ETA, polityka, historia, literatura, muzyka. Ano, Tomaszewski nie jest przecież zwykłym człowiekiem, ani tym bardziej, zwykłym sportowcem. Jak powie mi, znowu w kilka dni później, Stefan Rzeszot, mamy tu do czynienia z indywidualnością niepowtarzalną: — Kiedyś przyjechało do Tomka na wywiad dwóch zachodniemieckich dziennikarzy. Spędziliśmy razem bite dwadzieścia cztery godziny, przegadane i

przedyskutowane z pasją. Były to jedne z tych chwil, które zapamiętuje się na całe życie.

Bramkarz, to tylko jedna strona medalu. Jest jeszcze Tomaszewski-filozof, delikatny, inteligentny i wrażliwy człowiek o przeraźliwie niebieskich oczach, który ani przez moment nie ulega wątpliwości, że był do niedawna nie tylko polskim, ale i światowym szlagerem. Nie przyjmuje owej modnej, powszechnej pozy na skromność i dobrze. Bardzo nie lubię szalibierzej skromności, która przypomina mi natychmiast powiedzenie pewnego pisarza: Ty, frajer, nie bądź taki mały, bo wcale nie jesteś taki wielki.

Mówi:

— Kiedy wchodziłem między słupki, zawsze chciałem być wielki. Chciałem być WIELKIM TOMASZEWSKIM. Ale po meczu, kiedy opuszczałem stadion, marzyłem również, żeby być normalnym człowiekiem, ze wszystkimi wadami i przyzwyczajeniami.

— Czy taka prawdziwa, ogromna popularność, no... wie pan, taka, że rzeczywiście zna ją pana miliony, pozwala w ogóle być normalnym?

— Oczywiście, że tak.

— Ale meczy?

— Nie. Wcale nie meczy. Mnie się zdaje, że to jest wymysł aktorów. Kokieteria. — Boże, mam już dosyć całej tej przeklętej sławy! — Mówią to wtedy zazwyczaj, kiedy coś

wymyka im się z rąk.

— Dobrze. Przyglądam się panu. Jeśli przeszedłby sylwetki wielkich sportowców, tych z pierwszych stron magazynów ilustrowanych, okazałoby się, że są to niemal bez wyjątku pięknie inteligentni ludzie przy czym nie mam na myśli szlifów akademickich, lecz ogólną mądrość życiową. Z drugiej strony, pozostaje cała chmara mistrzów świata, których sława błędnie w tydzień po zdobyciu mistrzostwa. Jak to się dzieje?

— Po prostu. Mistrzostwo zdobywa się samą tylko siłą mięśni. Natomiast utrzymanie mistrzostwa wymaga również głowy. To tak, jakby pan porównał pojedynczy, nie zawsze uświadomiony i nie zawsze doceniony zryw z permanentną i troskliwą kontrolą. Od momentu, kiedy zdobycie mistrzostwa, liczy się dosłownie wszystko — twój ubiór, uśmiech, tryb życia, gesty, słowa, sposób, w jaki rozmawiasz z dziennikarzami, no i oczywiście twórczy stosunek do dyscypliny, którą uprawiasz. Chodzi o to, że wielki sportowiec zawsze stara się odcisnąć na niej swoje własne, oryginalne piętno.

— Jak ten gość, który pierwszy skoczył stylem grzbietowym?

— Tak.

— I Clay zaczynający pajać w ringu?

— On tylko pozornie pajacuje. Jest to w równej mierze taniec, którym próbuje podkręcić widowisko, co wyrachowana, mordercza presja na psychikę przeciwnika.

— Można znaleźć jakieś odpowiedniki w pańskiej grze?

— Można. Od dłuższego czasu trzymam się zasady, że pierwszą piłkę należy chwycić pewnie, ale nonszalancko, i niewielką dozą lekceważenia dla tego, który oddał strzał. W ten sposób pokazuje się tak zwaną wielkość boiskową i zaszczerpia przeciwnikowi nieufność we własne siły. Zaczyna majaczyć: dobrze, skoro strzelałem z piętnastu metrów i on to wylapał, muszę mu teraz przyłożyć z bliska. Zapomina o tym, że nim podejdziesz parę metrów bliżej, będzie miał na karku czterech obrońców.

— Ciągnę już drugiego scotcha. Myślę: do cholery z taką zasadą! On tam, na stadionie demonstruje boiskową wielkość, a ja przed telewizorem odpalam zawałem. No... ale w sumie ma rację. Kto, jak nie on właśnie pokazał, na czym polega ta sztuka? Mówiąc: — Uważam, że dokonałem czegoś w swoim zawodzie — potwierdza tylko ogólną opinię. Będąc w ŁKS strzelał czasem jedenastki. Potem, w klubach i reprezentacji, bronił je dubletami. To przeciwnicy zawinił nie on, iż nie powstało w odniesieniu



Foto: M. Zajdler

Siedzę i piszę

ROMAN GORZELSKI

Siedzę sobie w kawiarni i piszę ten wiersz myśląc: jak śmiesznie muszę wyglądać kiedy tak siedzę i piszę — ludzie patrzą na mnie widzą że piszę i chyba nie podejrzewają mnie o to że właśnie piszę ten wiersz: założyłem nogę na nogę aby mi było wygodniej pisać ten wiersz niewygodna pozycja przy pisaniu wiersza może spowodować to że będzie on krótki a wartość wiersza wymienna w złotychkach równa jest ilości linijek w wierszu — szkoda, że nie ma tu lustra naprzeciwko mnie bo bym sobie od czasu do czasu popatrywał na siebie i myślał że taki stary facet musi śmiesznie wyglądać kiedy pisze ten przydługi wiersz o pisaniu wiersza.

Dalsze wiersze Romana Gorzelskiego publikujemy na stronie 8.



Foto: Z. Nowak

Mówi się dziś: — nie ma alternatywy dla polityki porozumienia; — porozumienie jest koniecznością; — tylko poprzez porozumienie można będzie wyprowadzić kraj z kryzysu. I mogłoby się wydawać, że są to prawdy oczywiste, a przecież tak nie jest. Politykę porozumienia wielu ludzi różnie rozumie. Niektórzy ją negują, inni chcą w tym widzieć tylko taktykę obliczoną na doraźne korzyści.

Przypomnę więc stwierdzenia z materiałów VII Plenum KC PZPR:

„Partia potwierdza z całą mocą ofertę porozumienia narodowego. Zachowując swą konstytucyjną, przywódczą rolę, partia pragnie inicjować partnerskie stosunki z wszystkimi siłami społecznymi, które pragną pomyślności narodu, uznają nadrzędność socjalistycznego państwa. Stan wojenny minie, Polska pozostanie. Pozostaną jej problemy, które można rozwiązywać tylko wspólnymi siłami, przy wzajemnym poszanowaniu i tolerancji”.

Są to słowa z referatu Biura Politycznego KC PZPR, wygłoszonego przez I sekretarza KC — gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

A więc nie jest to działanie tylko na teraz, dla osiągnięcia doraźnych korzyści, ale sposób na rozwiązywanie problemów politycznych i społecznych również w przyszłości. Problemów, których nam nie brakuje dziś i nie będzie brakować jutro. Wychodzenie z kryzysu musi być procesem, w którym uczestniczyć muszą wszystkie siły społeczne i polityczne stojące na gruncie Konstytucji PRL, akceptujące w Polsce socjalizm.

A więc porozumienie nie tylko jako metoda wychodzenia z kryzysu, ale i sposób na rozwiązywanie konfliktów w przyszłości. Porozumienie warunkuje współpracę, a współpraca nie może być bez porozumienia. Tylko jak je osiągnąć?

Niedawno spotkałem się z takim poglądem: — trzeba się wreszcie zdecydować i zasiąść do stołu w celu porozumienia się. Do tego stołu musi zasiąść rząd i wszystkie niezależne, samorządne związki zawodowe.

Można byłoby na to odpowiedzieć: do stołu już wielokrotnie siadano, podpisywano różne porozumienia i nic z tego nie wyszło. Zamiast takiej lakonicznej w istocie rzeczy odpowiedź, proponując rozważenie tego poglądu, zastanowienie się nad taką właśnie koncepcją porozumienia. Zacząć trzeba od rozważań nad miejscem i rolą związków zawodowych w Polsce.

1 Jeszcze raz odwołam się do materiałów VII Plenum KC PZPR. W Uchwale stwierdzono:

„Komitet Centralny opowiada się za odbudową silnego, samodzielnego i samorządnego ruchu związkowego, stanowiącego powszechną platformę współgospodarzenia krajem, organizowania się ludzi pracy i obrony ich codziennych interesów społeczno-zawodowych. Odrodzony ruch związkowy musi działać zgodnie z interesem państwa, uznawać socjalistyczne zasady ustrojowe i przezwyciężać rolę PZPR”.

Jest to stwierdzenie określające stosunek partii do ruchu zawodowego. Nie odpowiada ono i nie może odpowiadać na szereg pytań, jakie wiażą się z przyszłością ruchu zawodowego w Polsce. Dyskusja nad tym problemem trwa. W dyskusji tej pada jedno z zasadniczych pytań: czy przyszłość tego ruchu ma być pluralistyczna, czy nie? Czy odrodzony ruch zawodowy będzie się składać tylko ze związków zawodowych jednego rodzaju, czy też będą w nim występowały związki branżowe, autonomiczne i „Solidarności”? I wreszcie pytanie podstawowe: czy w państwie socjalistycznym ruch związkowy może mieć charakter pluralistyczny?

Odpowiedzi na te pytania padają różne. Jedne, że jest to niemożliwe, bo tak już było i co z tego wynikałoby wszyscy wiemy. Inne, że jest to nie tylko możliwe, ale było faktem. Jeszcze inne, że pluralizm związkowy jest faktem, bo związki zawodowe są tylko zawieszona, a nie rozwiązane. Gdyby się tylko na tych odpowiedziach oprzeć, to problem pozostaje nadal nierozwiązany, gdyż nie dotyczą one istoty: roli i charakteru ruchu związkowego w okresie dyktatury proletariatu, a więc w okresie przechodzenia do socjalizmu.

2 W grudniu 1920 roku odbyła się w Moskwie narada delegatów na VIII Zjazd Rad oraz członków RKP(b), działaczy związkowych. Przemówienie na tej naradzie wygłosił Włodzimierz Lenin. Toczyła się wówczas dyskusja o roli i zadaniach związków zawodowych. Włodzimierz Lenin polemizował z Lwem Trockim. Powiedział on wówczas: „...ogarniając ogół robotników przemysłowych, włączając ich do szeregów organizacji związki zawodowe stanowią organizację klasy rządzącej, panującej, sprawującej władzę, tej klasy, która urzeczywistnia dyktaturę, tej klasy, która urzeczywistnia przymus państwowy. Nie jest to jednak organizacja państwowa, nie jest to organizacja stosująca przymus, jest to organizacja wychowawcza, organizacja, która uaktywnia i uczy, jest to szkoła, szkoła rządzenia, szkoła gospodarowania, szkoła komunizmu. Jest to szkoła zupełnie niezwykłego typu, mamy tu bowiem do czynienia nie z nauczycielami i uczniami, lecz z pewnym nader swoistym skójarzeniem teo. co pozostało i nie mogło nie pozostać po kapitalizmie oraz tego, co wylaniają ze swego środowiska oddziału pod względem rewolucyjnym rządu, inaczej mówiąc, rewolucyjną awangardę proletariatu. Dlatego też mówić o roli związków zawodowych bez uwzględnienia tych praw — to nieuchronnie dojdzie do szeregu błędnych wniosków”.

Związki zawodowe, jeśli chodzi o ich miejsce w systemie dyktatury proletariatu, znajdują się, jeżeli można się tak wyrazić pomiędzy partią a władzą państwową. Przy przejściu do socjalizmu nieodzowna jest dyktatura proletariatu, jednakże powszechna organizacja robotników przemysłowych tej dyktatury nie sprawuje”.

I dalej:

„Nie można sprawować dyktatury bez kilku „transmisji” od awangardy do mas klasy produkcyjnej i od tej klasy do mas pracujących”.

I jeszcze:

„Nasze obecne państwo jest takie, że powszechnie zorganizowanemu proletariatu musi bronić się, my zaś musimy te organizacje robotnicze wykorzystywać do obrony robotników przed

Czy można dojść do porozumienia i w jakiej sprawie?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ich własnym państwem i do obrony naszego państwa przez robotników. Jedną i drugą obrona realizowana jest poprzez swoisty spłot naszych posunięć państwowych i naszego porozumienia, „zrastania się” z naszymi związkami zawodowymi”.

Jeśli więc na ruch zawodowy spojrzeć od strony celów i zadań, od strony jego roli, to problem pluralizmu staje się jakby mniej ważny. Nie jest bowiem nigdzie powiedziane, że owych „transmisji” nie może być kilka. W. Lenin mówiąc o roli związków zawodowych użył też innego porównania. „Mamy więc jak gdyby szereg kół zębatych” — powiedział. Należy zatem zapytać, czy owe „transmisje” i „kółka zębate” napędzają zgodnie jeden mechanizm, czy też każde kręci się w swoją stronę, a przez to i cały mechanizm przestaje działać, zaczyna się szwankować. Dotychczasowe pluralistyczne doświadczenia ruchu związkowego wskazują, że przy niezgodnym działaniu „transmisji” i „kół zębatych” wynik może być jeden: destabilizacja, osłabienie państwa, anarchia. A to może leżeć tylko w interesie przeciwników socjalizmu, a nie w interesie narodu, którego przyszłość wiąże się ściśle z socjalizmem.

Samorządność ruchu związkowego nie jest kwestionowana. Inaczej wygląda jego niezależność. Jeśli ma być rozumiana jako niezależność od administracji — to jest jasne. Inaczej niemożliwe jest spełnienie zadania obrony interesów robotniczych, interesów ludzi pracy. Związki zawodowe zamieniają się wówczas w przybudówkę administracji, jej agendę do spraw zaopatrzenia i bhp. Natomiast niezależność polityczna jest absurdem. W gruncie rzeczy niezależność „Solidarności” też była mitem. Była to niezależność od partii i władzy ludowej. Ale była to zależność od różnych ugrupowań antysocjalistycznych. To „kółka zębate” kręciło się w zupełnie inną stronę, powodując zakłócenia w państwowej i społecznej machinie.

Jeżeli partia klasy robotniczej spełnia swoje posłannictwo, jeżeli wyraża interesy ludzi pracy — a partia marksistowsko-leninowska nie może postępować inaczej — to nie powinno być sprzeczności między nią a związkami zawodowymi, istnieje bowiem wspólnota celów. Metody mogą i powinny być różne, ale nie cele. IX Zjazd PZPR zapoczątkował odbudowę robotniczego charakteru partii i stanął na pozycjach marksizmu-leninizmu, co spotkało się z atakiem przeciwników. Okazało się wówczas, że nie tylko metody, ale i cele były różne. A przecież w Uchwale IX Zjazdu PZPR można znaleźć i takie sformułowanie, że zjazd „opowiada się również za pogłębieniem partnerskich stosunków ze związkami branżowymi, ze stojącymi na gruncie socjalizmu siłami w NSZZ „Solidar-

ność”, ze związkami autonomicznymi i innymi związkami, ze wszystkimi organizacjami społecznymi i środowiskowymi”. Było to jakby zaakceptowanie rzeczywistości, a więc pluralizmu w ruchu związkowym, pod warunkiem wszakże, że wszystkie „kółka zębate” i „transmisje” kręcić się będą zgodnym rytmem, działając dla osiągnięcia wspólnego celu — obrony interesów ludzi pracy w socjalistycznym państwie. Stanowisko to nie zostało jednak przez wszystkich zaakceptowane — przede wszystkim przez przeciwników socjalizmu.

3 W dyskusji o związkach zawodowych padają różne propozycje. Wśród partyjnego aktywu służby zdrowia uważa się, że w placówkach tej służby powinien działać tylko jeden związek — pracowników służby zdrowia, posiadający tradycję i doświadczenia. Z podobnym poglądem wystąpili niektórzy członkowie partii nauczyciele, uważając, że w placówkach oświatowych powinien działać tylko ZNP, jako mający również tradycję i doświadczenie oraz niebagatelną dorobek.

Mieczysław Drobnier z Łodzi wystąpił na łamach „Trybuny Ludu” z koncepcją, według której „w każdym zakładzie pracy jest możliwe i pożądane powstanie tyłu związków zawodowych, ile wyraźnie różnych specjalizacji występuje na danym terenie, z tym jednakże, żeby w jednej specjalności był jeden powszechny związek”. Według autora tej koncepcji „zarządy kilku istniejących związków zawodowych musiałyby oczywiście ściśle ze sobą współpracować”. Jest to wprawdzie nieco inna koncepcja wielu „kół zębatych” i „transmisji”, zróżnicowana jedynie strukturalnie. W istocie M. Drobnier opowiada się za jednorodnym charakterem ruchu związkowego, podzielonego niejako tylko ze względu na specyfikę zawodową.

Bardziej jednak przemawia mi do przekonania koncepcja jednolitej reprezentacji załogi w zakładzie pracy. Według tej koncepcji pluralizm ruchu związkowego nie może przekroczyć bramy zakładowej. Niech sobie istnieją różne związki zawodowe, niech pracują nad swoimi programami, szukają najbardziej skutecznych metod obrony interesów ludzi pracy, niech wysuwają swoich kandydatów do reprezentacji załogi, ale gdy już ich załoga powoła, wtedy muszą reprezentować tylko interesy załogi. Członków tej reprezentacji — może to być rada zakładowa — wybiera się nie dlatego, że reprezentują taki czy inny związek zawodowy, ale dlatego, że swoją postawą, dorobkiem, zdolnościami gwarantują obronę interesów wyborców — załogi. Według tej koncepcji reprezenta-

cja załogi, a przez to i związki zawodowe mają w zakładzie pracy spełniać rolę integrującą, a nie dzielącą i skłócającą. Mają nie tylko wykuwać żądania, ale współuczestniczyć w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych.

Jak byśmy na te różnorodne, nieraz sprzeczne z sobą propozycje nie patrzyli, to mają one coś wspólnego — jednoś celów: jak najskuteczniejszą obronę interesów ludzi pracy. Jest to dążenie do przywrócenia związkowi zawodowemu jego podstawowego charakteru, a nie dążność do przekształcania go w opozycyjną partię polityczną. Jest to dążenie do przywrócenia związkowi zawodowemu ich właściwego miejsca, które — jak to określił Włodzimierz Lenin — „w systemie dyktatury proletariatu, znajduje się, jeżeli można się tak wyrazić, pomiędzy partią a władzą państwową”, a nie naprzeciw partii czy władzy państwowej.

4 W dyskusji nad Deklaracją Ideowo-Programową „O co walczymy, dokąd zmierzamy” wśród wielu pytań i wątpliwości były też głosy domagające się wyjaśnienia, dlaczego dziś nie mówi się o dyktaturze proletariatu, jakie jest jej miejsce w naszym systemie socjalizmu?

W książce „Państwo a rewolucja” Włodzimierz Lenin pisze:

„Dyktatura proletariatu, tzn. zorganizowanie się awangardy mas uciskanych w klasie panującej w celu zdławienia ciemiężców...”

I dalej:

„Dyktatura proletariatu wprowadza pewną liczbę wyłączeń od zasady wolności w stosunku do ciemiężców, wyzyskiwaczy, kapitalistów”.

W okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu dyktatura proletariatu jest niezbędna. Jej formy natomiast mogą być różne. Słowo „dyktatura” przeraża niektórych, traktują oni je bowiem w oderwaniu od rzeczywistości. Jeśli jednak spojrzeć na nie z punktu widzenia klasowego, to każda klasa panująca posługuje się przemocą dla osiągnięcia i obrony swoich klasowych celów i interesów. Klasy panujące posługują się państwem, nadając mu określony charakter klasowy. Proletariat też posługuje się państwem dla osiągnięcia swoich celów klasowych, ale cele te nie mogą, i nie są sprzeczne z interesem narodowym. W miarę rozwoju społeczeństwa socjalistycznego powinna następować również ewolucja form dyktatury proletariatu. U nas już dawno zaprzestano używać tego pojęcia, ale czy państwo zatraciło przez to cechy dyktatury proletariatu?

W referacie Augustyna Wajdy i Jerzego J. Wiatra „Uniwersalne prawidłowości budownictwa socjalizmu” wygłoszonym na I Ogólnopolskiej partyjnej konferencji ideologiczno-teoretycznej stwierdza się między innymi:

„Koncepcja jest ponowne, obiektywne i naukowo pogłębione przeanalizowanie zagadnień faz i etapów rozwoju społeczeństwa socjalistycznego w Polsce na tle tendencji rozwojowych socjalizmu w innych krajach. Teza VII Zjazdu PZPR, wedle której Polska weszła już w okres budowy „rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego” jest ostatnio nie bez racji powszechnie kwestionowana. Rzecz jednak nie polega po prostu na tym, by tamto sformułowanie odrzucić, lecz na tym, by zbadać, w jakim sensie i w jakim zakresie sprzeczność występująca w naszym życiu są konsekwencją niezrealizowanych zadań budowy społeczeństwa socjalistycznego, a w jakim stanowią właśnie rezultat przechodzenia do wyższej fazy rozwoju socjalizmu”.

W rzeczowej analizie faz rozwoju socjalizmu w Polsce nie może zabraknąć też kwestii dyktatury proletariatu. Nie chodzi tu bowiem tylko o wyjaśnienie sprawy podstawowego pojęcia marksizmu, ale o umiejętność klasowego widzenia zjawisk i procesów, dostrzeganie ich dialektyki, a przez to i ich wewnętrzną sprzeczność. Rzetelna i głęboka ocena przeszłości, ukazanie źródeł i przyczyn minionych i obecnych konfliktów pozwoli jasniej widzieć terażniejszość, a przez to również klasowy charakter sił, jakie dziś funkcjonują w naszym społeczeństwie.

5 Przedstawiony na początku pogląd na porozumienie jako „dogadanie się” stron w świetle tego co napisaliśmy wydaje się mocno problematyczny. Jest to formalny punkt widzenia. Przede wszystkim stronami nie mogą tu być związki zawodowe — ile by ich tam nie było — i rząd. Partnerów porozumienia jest bowiem znacznie więcej.

Uważam, że porozumienia nie można zawrzeć tylko „odgórnie”. Nie można tej idei ograniczać jedynie do porozumienia przywódców. Swego czasu odbyło się spotkanie gen. Wojciecha Jaruzelskiego, prymasa Józefa Glempa i Lecha Wałęsy. Wiązano z tym spore nadzieje. Rzeczywistość tego nie potwierdziła. Dziś można buduje się porozumienie od dołu, jako ruch odrodzenia narodowego. Nabiera ono przez to konkretnego charakteru. Ale znów idei tej nie można sprowadzać tylko do nadania jej form instytucjonalnych. Chodzi o coś więcej.

Sądzę, że istota rzeczy polega na działaniu. Niezbędne jest porozumienie się w konkretnych sprawach, w podejmowaniu i realizowaniu konkretnych inicjatyw, zamierzeń. Do zrobienia jest aż nadto. A więc wszyscy ci, którzy myślą o przyszłości socjalistycznej Polski i chcą coś dla niej uczynić, powinni porozumiewać się w konkretnej sprawie, nie czekając na to, że ktoś to za nich uczyni. Ludzie różnych zaprzywiaszeń, światopoglądów, orientacji, mogą i powinni łączyć się dla spełnienia takiej czy innej, pozytywnej dla społeczeństwa inicjatywy. Terenem porozumienia powinny być zakłady pracy, miejsce zamieszkania, urzędy, instytucje, szkoły itd. Z tych drobnych działań, uwieńczonych pozytywnym rezultatem, rodzić się będzie i narastać proces, który pozwoli nam wyjść z kryzysu i przyczyni się do rozwiązania wielu naszych spraw. A jest ich bardzo dużo. I nikt tej pracy za nas nie wykona. A wykonać ją powinna nam pozwolić świadomość tego, że Polska o Polskę, o jej siłę i przyszłość mogą być podstawą wszelkich porozumień zawieranych nie za stołem obrad, ale w codziennym działaniu.



Robotnicy o partii

STEFANIA DZIĘCIELSKA—MACHNIKOWSKA

Trudno powiedzieć co było tego przyczyną, ale w chwili, kiedy została rozprawiona ankieta, poświęcona opiniom członków PZPR, robotników zatrudnionych w dziesięciu wybranych zakładach przemysłowych Łodzi — Deklarację „O co walczyliśmy, dokąd zmierzamy” czytało 50,5 proc. wszystkich, którzy na ankietę odpowiedzieli. A odpowiedzi uzyskano 259 — tj. 48 proc. rozdanych ankiet.

Wśród osób, które zadeklarowały, że czytały tekst deklaracji było 55 proc. członków związków branżowych i autonomicznych oraz 43 proc. członków NSZZ „Solidarność”. 56 proc. uczestników ankiety stanowili mężczyźni, 44 proc. — kobiety. Na podstawie danych wyraźnie rysują się różnice w stopniu zainteresowania sprawami partyjnymi członków zrępowanych w różnych zakładach pracy. Najmniej osób czytało deklarację w ZPB im. J. Marchlewskiego i „Fonice”. Mniej czytali deklaracje członkowie „Solidarności” aniżeli związków branżowych, rzadziej kobiety aniżeli mężczyźni.

Trudno wysuwać daleko idące wnioski z tych przykładów, ale warto pamiętać, że w ZPB im. J. Marchlewskiego działała bardzo silna grupa „Solidarności”, miał w nich swoją „awaryjną” siedzibę Zarząd Regionalny związku, natomiast w „Fonice” zgrupowani byli członkowie PZPR, którzy lansowali stworzoną poza zakładem, ale przyjętą za swoją inną koncepcję PZPR. Można więc przypuszczać, że sprawy te nie pozostały bez wpływu na zainteresowanie deklaracją, przedstawioną przez związaną z prawą i lewą Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Spostrzeżenie powyższe w jakimś stopniu uzasadnia fakt, że wśród członków, którzy czytali deklarację w „Fonice”, nie było ani jednego członka „Solidarności”, a w „Marchlewskim” stanowili większość.

90 proc. wypowiedziających się zaaprobowало tekst, uznając jednak za konieczne wprowadzenie poprawek drobnych lub gruntownych. Zaledwie 3 proc. czytelników odrzuciło tekst, proponując opracowanie zupełnie nowego.

Co było przedmiotem krytyki? W wypowiedziach zwracano uwagę, że tekst jest zbyt długi i mało komunikatywny. „Niezrozumiały dla robotnika — rozlektły. Powinien być takt, jak manifest PKWN”. „Tekst jest zbyt zawity i mglisty. Brakuje konkretności”.

Zwracano uwagę, że „Deklaracja nie może być programem KC PZPR — a powinna być deklaracją PZPR”.

Ponadto twierdzono, że w tekście brak ważnej, zdaniem wypowiedziającego się, sprawy lub zbyt dużo spraw próbuje się w tekście wyrazić. Ogólnie można stwierdzić, że członkowie partii oczekują deklaracji napisanej krótko, zwięźle, prostym, przemawiającym do ludzi pracy, a nie tylko członków PZPR, językiem. Deklaracja powinna określić w sposób zdecydowany i jednoznaczny, jaka jest partia i jakie cele chce i musi osiągnąć. Były wypowiedzi wskazujące, że równie ważna jak deklaracja jest konsekwentna realizacja deklarowanych celów.

Na uwagę zasługują zgłoszone propozycje uzupełnienia deklaracji.

„Uściślenie czasu wyjścia kraju z kryzysu gospodarczego. Czego całe społeczeństwo może oczekiwać w najbliższej przyszłości?”

„KC uwinien działać zgodnie z kierunkami nakreślonymi przez doty. Historia potwierdza fakt, że prominieli przy kolejnych kryzysach, winni tych kryzysów, odrzucali się od klasy robotniczej”.

„Wielu towarzyszy jest w rozterce, czy wierząc może być partyjnym, czy wstąpienie w szeregi partyjne eliminuje z grona wierzących i czy praktyki religijne muszą się odbywać skrycie?”

„Powinno istnieć możliwość dyskusji, możliwości krytyki i wątpliwości w wytyczne, bo nikt nie ma patentu na mądrość, tak jak to było dotychczas”.

„Dokument powinien zawierać gwarancje, że odstępstwa od statutu nie powtórzą się, co zagwarantuje prowadzenie sposobów realizacji tego dokumentu”.

„Podać ostateczny termin rozliczenia winnych kryzysu gospodarczego”.

Spotykało się też wołanie „o zdecydowaną dyktaturę proletariatu”.

„W dokumencie brak jest wzmianki o narodzinach ruchu komunistycznego. Jest to teoretyczny monolog bez przykładów bliskich Polakom. Należy niezwłocznie przedstawić źródła i przyczyny obecnego kryzysu; należy konsekwentnie sprecyzować problem rozliczeniowy”.

„Uważam, że najwyższa pora wzmocnić pozycję partii poprzez właściwy dobór kadr i członków, wyrażne określenie bezkompromisowych kryteriów przyjmowania do organizacji i egzekwowania jej statutowych norm postępowania”.

Mówiono też o potrzebie pełniejszego ukazania tradycji PZPR.

Niewiele osób wypowiedziało się o ewentualności zrezygnowania z niektórych spraw, które są w projekcie deklaracji zawarte.

„Pominać drobne, aczkolwiek ważne sprawy bieżące, np. sprawy oszczędności materiałów, surowców. Są to sprawy oczywiste, a nie podlegające dyskusji”.

„Mniej problemów podejmować, ale konsekwentnie realizować”.

„Pominać to, co zrobiono i co jest. Przecież chcemy mówić, co będziemy robić”.

Powstało pytanie: jaka powinna być deklaracja, aby stała się ona własnością wszystkich członków PZPR, a przede wszystkim klasy robotniczej? Odpowiedź można sformułować krótko:

Powinna to być deklaracja zwarta. Sformułowanie powinny mieć charakter manifestu. Deklaracja powinna ukazywać drogę partii, która będa szli jej członkowie i włącza się w jej realizację masy pracujące. Nie może być także programem, ponieważ program IX Zjazdu nie stracił na znaczeniu, choć opracowywany był w warunkach ataku na partię z prawa i lewa.

W szóstym numerze „Odgłosów” z 16 maja br. publikowaliśmy artykuł pt. „Nauczyciele o partii”. Autor wykorzystał w nim materiał, zebrany przez Zespół Analiz Społecznych przy Wydziale Nauki i Oświaty KŁ PZPR. Zespół przeprowadził w marcu br. badania opinii członków partii na temat projektu deklaracji ideowo-programowej PZPR: „O co walczyliśmy, dokąd zmierzamy”.

aktualnej sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej:

1. ukazać sposoby wyjścia z kryzysu, w jakim znajduje się kraj;

2. stworzyć gwarancje zapobiegające powtórzeniu się kryzysów;

3. zdobyć szeroką akceptację społeczeństwa.

Są to zadania niełatwe do zrealizowania, ale konieczne. Sądzić należy, że realizacja dwóch pierwszych — może w efekcie dać podstawę do szerokiej akceptacji partii przez społeczeństwo. Myliliby się jednak ten, kto sądziłby, że wyprowadzenie kraju z kryzysu może być zrealizowane tylko siłami członków partii, jak i że wystarczy wyjść z kryzysu, aby zdobyć akceptację społeczeństwa. Zbyt głęboka jest niechęć społeczeństwa do tego, co działo się w partii, zbyt jednostronne obciążenie odpowiedzialnością za kryzys.

Za zadanie najpilniejsze zdecydowana większość uczestników ankiety uznaje konieczność ukazania dróg wyjścia z kryzysu. Jest to w istocie sprawa z punktu widzenia sytuacji państwa i każdego obywatela najważniejsza. Ale czy nie powiedziano już na ten temat wiele, czy nie został ten punkt już zrealizowany? Zdaniem odpowiadających — nie, moim zdaniem — tak. Bo jakie jest inne wyjście z kryzysu, jak nie rzetelna, wydajna praca. Pożyczki zagraniczne nie wchodzi w rachubę. Jakie jest inne wyjście, jak sprawiedliwe rozłożenie ciężaru kryzysu. Ale co oznacza — sprawiedliwe rozłożenie skutków kryzysu? Czy tak, jak to zrobiono w rekompensatach podwyżki cen. Przecież tym samym złamano motywacyjny system płac. Przecież zrealizowano zasadę, że kto mało pracuje może więcej jeść, niż ten, kto pracuje dużo i wydajnie. Pomijam, rzecz jasna, sprawy rekompensat dla emerytów. Jest to sprawa poza dyskusją.

Czy może być inne wyjście z kryzysu, jak pozbycie się wszystkich tych, którzy do kryzysów doprowadzili i tych, którzy nie potrafili już myśleć i działać? Czy jest inne wyjście, niż uwolnić się od tych, którzy ciągle powodują marnotrawstwo czasu i środków? Czyba innego wyjścia nie ma, ale ludzie trzymają się mocno swoich pozycji lub przechodzą na wysoko płatne emerytury, aby dalej dobrze żyć na koszt społeczeństwa.

Pomijając jednak zdecydowaną większość członków partii nie dostrzegła programu wyjścia z kryzysu, trzeba ten program doprowadzić do świadomości społecznej. Istnieje obawa, że część nie zaakceptowała tego programu, bo nie uznawała go za wystarczający. Wobec tego trzeba sprawę jeszcze raz podjąć, przemysleć, uzupełnić, a może pełniej, konsekwentniej program realizować.

3

W deklaracji zapisano: „Naturą komunistów jest służebność wobec klasy robotniczej, reprezentowanie jej interesów, spełnianie wobec niej ideowego przywództwa, kształtowanie świadomości politycznej oraz przekonywanie

Z materiałów zebranych przez zespół korzysta także w swym artykule prof. dr hab. Stefania Dzięcielska-Machnikowska z Instytutu Socjologii UŁ. Autorka kieruje Zespołem Analiz Społecznych KŁ PZPR. Kierowała także przeprowadzonymi w marcu br. badaniami opinii członków partii nt. projektu deklaracji ideowo-programowej.

i nieustanne jej pozyskiwanie do swego programu”. Zapis ten zaakceptowało i przyjęło jako swój obowiązek 81 proc. ankietowanych. Na marginesie dodam, że zadania te są obowiązkowe, a nie naturą komunistów. Zaledwie 4 proc. członków partii nie zaakceptowało tego zapisu, ale 13 proc. stwierdziło, że nie ma zdania, a 2 proc. nie udzieliło odpowiedzi. Te wyniki, mimo ich pozytywnej treści, dają dużo do myślenia. Aż 19 proc. ankietowanych członków PZPR nie akceptuje podstawowego obowiązku. Wśród członków PZPR, którzy stwierdzili, że nie mają zdania, a więc wśród 13 proc. — więcej niż połowę (56 proc.) stanowią członkowie „Solidarności”, a 44 proc. członkowie związków branżowych. Nie jest to wielka, ale jednak statystycznie istotna różnica.

Zdaniem członków PZPR w projekcie deklaracji są sprawy o niejednakowej ważności. I tak jako najważniejsze zostały uznane zadania w następującej kolejności:

1. reprezentowanie klasy robotniczej — 73 proc.;

2. służebność wobec klasy robotniczej — 63,7 proc.;

3. pozyskiwanie klasy robotniczej dla swego programu — 63,3 proc.;

4. kształtowanie świadomości politycznej klasy robotniczej — 38,1 proc.;

5. spełnianie ideowego przywództwa klasy robotniczej — 33 proc.

Na uwagę zasługuje fakt, że na reprezentowanie klasy robotniczej częściej wskazują członkowie zawieszonych NSZZ „Solidarność” (76,0 proc.), niż członkowie zawieszonych związków branżowych, a na zadanie spełniania ideowego przywództwa klasy robotniczej częściej wskazują członkowie związków branżowych (36, proc.), aniżeli NSZZ „Solidarność” (28,0 proc.).

4

W deklaracji zapisano: „PZPR, partia marksistowsko-leninowska, awangarda klasy robotniczej, wyraża, broni i gwarantuje realizację historycznych interesów narodu polskiego”. Zgadza się z tym zapisem 48 proc., nie zgadza się 31 proc., a nie ma zdania 21 proc. Nie odnotowano różnic w wypowiedziach w zależności od przynależności związkowej. Ankietowani członkowie PZPR mają wątpliwości, czy PZPR jest w istocie reprezentantką interesów całego narodu. Dlaczego więc tak sądzą? Jak uzasadniają swoje zdanie?

„PZPR powinna służyć interesom klasy robotniczej, a nie oznacza to, że członek partii ma od ust odjąć i dać innym. Trzeba stwierdzić, że do tej pory PZPR nie dla wszystkich jednako wyraża ich interesy, tzn. nie wszyscy jednako korzystali z przywilejów, jakie do tej pory były. Po prostu niektórzy za dużo się obłowili, korzystając z przynależności do partii. Grupy prominentów do tej pory jeszcze nie zostały rozliczone za swojej działalności”.



Jeżeli partia ma wyrażać interesy narodowe, to powstaje problem, jakie sprawy są najważniejsze, jakie elementy powinny być realizowane przede wszystkim. Wymieniono sześć elementów ważnych z punktu widzenia interesów jednostkowych i narodowych i otrzymano następującą liczbę wskazań:

1. sprawiedliwość społeczna — 93 proc.;
2. niepodległość, suwerenność — 69 proc.;
3. wszechstronny rozwój społeczno-ekonomiczny — 58 proc.;
4. bezpieczeństwo społeczne — 48 proc.;
5. ludowladztwo — 20 proc.;
6. wszechstronny rozwój kulturalny — 8 proc.

W deklaracji wymienione zostały cechy osobowościowe członka partii. Ankietowani mieli wybrać pięć najważniejszych czyli takich, które powinny cechować każdego, kto nosi lub zamierza nosić legitymację partyjną. Oto odpowiedzi:

1. uczciwość — 87,5 proc.;
2. prawość — 63,3 proc.;
3. odwaga w zwalczaniu zła — 57,7 proc.;
4. pracowitość — 57,4 proc.;
5. patriotyzm — 51,9 proc.;
6. skromność — 43,2 proc.;
7. aktywność społeczna — 37,7 proc.;
8. zdyscyplinowanie — 35,9 proc.;
9. mądrość — 30,1 proc.;
10. znajomość zasad marksizmu-leninizmu — 23,5 proc.;
11. ideowa żarliwość — 10,7 proc.;
12. przekonanie materialistyczne — 5,8 proc.

Co z tego wynika? Można przypuszczać, że wysunięcie na pierwsze miejsce uczciwości jest rezultatem zbyt częstego łamania podstawowych zasad etycznych przez ludzi, którym powierzono odpowiedzialne zadania, ponieważ byli członkami partii.

Członkowie partii nie muszą koniecznie mieć materialistycznego światopoglądu. Oznacza to, że zdaniem większości, przynależność do partii nie łączy się z wiarą w Boga, praktykami religijnymi.

Nie wymaga się od członka partii żarliwej ideowości. Wystarczy, że będzie uczciwy, prawy, pracowity.

Na oddzielne skomentowanie zasługuje wskazany przez 51 proc. odpowiadających patriotyzm jako cecha członka partii. Czyżby w ostatnim czasie ta wartość uległa obniżeniu? A może zbyt dużo mówiono o patriotyzmie, zbyt często nadużywano tego pojęcia, a może jest to wynik przekonania, że patriotyzm jest obowiązkiem obywatelskim, a zatem nie ocenia się członka partii w tej kategorii, ponieważ ocenia się go w ten sposób jako Polaka i obywatela.

Zaakceptowanie w pełni (82 proc.) zasady bezwzględnej pozbicia się z szeregiem partii ludzi nieuczciwych, koniunkturalnych karierowiczów, dwulicowych... jest w świetle odpowiedzi ankietowanych całkowicie zrozumiałe. Zaledwie dwie osoby powiedziały, że nie mają zdania. Nikt nie zanegował tej zasady. Wniosek jest jednoznaczny. Członkowie partii oczekują, że podejmie się zadanie przeglądu kadrowego.

5

Kolejny fragment deklaracji brzmi: „Rewolucyjna sytuacja wymaga rewolucyjnych postaw, bezkompromisowości, zdecydowania, wierności sprawie socjalizmu, czystych rąk i czystych sumień”, a dotyczy postaw członków partii na dziś. Okazuje się, że pytanie czy stwierdzenie dotyczące postaw uznają za własne, zgadzają się z nim, są gotowi je realizować w praktycznej działalności w 73 proc. deklarują bezwarunkową akceptację, 13 proc. — raczej popiera takie postawy, a 10 proc. popiera, ale wskazuje, że zależy to od okoliczności. Nikt nie wypowiedział się negatywnie, a 4 proc. osób nie miało zdania.

Zdaniem ankietowanych, najczęściej nie przestrzegano w partii:

1. zasady „czystych rąk” — 69 proc.;
2. zasady „czystości sumienia” — 64 proc.;
3. wierności sprawie socjalizmu — 55,5 proc.;
4. zdecydowania — 45 proc.;
5. bezkompromisowości — 33,2 proc.

A więc nie realizowano zasad etycznych, przede wszystkim. Jest to bolesne, choć zgodne z rzeczywistością, odczucie członków PZPR.

Aktualna sytuacja polityczna, zdaniem autorów projektu deklaracji, stawia nowe wymagania: „Nie ma w naszej dramatycznej rzeczywistości miejsca ani czasu na demonstrację wahań, wątpliwości i słabości”. Zapis ten nie neguje prawa do wahań czy wątpliwości, ale wyraźnie wypowiada się przeciwko ujawnieniu czy wręcz ich demonstrowaniu.

Ta zasada jest akceptowana przez 79,2 proc. osób odpowiadających na ankietę, odrzucona przez 11 proc., a 9 proc. nie ma zdania. Częściej pełną akceptację deklarowali członkowie związków branżowych, aniżeli „Solidarności”, ci natomiast częściej stwierdzali, że nie mają na tę sprawę wyrobionego poglądu.

W deklaracji zapowiada się zaostrenie kryteriów przynależności partyjnej w sformułowaniu: „Działaj kryteria partyjności muszą być bardziej ostre i jednoznaczne. Tylko ten, kto potrafi unieść ciężar obowiązków wynikających z przynależności do naszej partii, podać im w sposób świadomy, odpowiedzialny i zdyscyplinowany — może zasłużyć na godność członka PZPR — komunisty”. I ta zasada uzyskuje zdecydowaną akceptację (90 proc., w tym 72 proc. TAK i 18 proc. raczej TAK). Zaledwie 4 proc. członków partii odrzuca zaostrenie kryterium przynależności partyjnej, a 5 proc. nie ma w tej kwestii zdania.

Zasada „pełnej i bezwarunkowej jedyności wszystkich, którzy chcą pozostać członkami partii” jest akceptowana przez 84 proc. odpowiadających, w tym 64,4 proc. — akceptuje bez wahań, a 17,8 proc. — raczej akceptuje. Odrzuca zasadę jedyności jedynie 5 proc., a nie ma w tej kwestii zdania — 3 proc., a przecież nie jest to dla partii bez znaczenia.

2

Powszechnie w dyskusjach wskazuje się na trzy zadania, jakie PZPR ma do spełnienia w

Redakcja „ODGŁOSÓW” odstąpiła natychmiast duże mieszkanie dla rodziny wielodzietnej. Tej treści anons wywołałby z pewnością ogromne zainteresowanie wśród czytelników prasy codziennej. A jest co oferować. Luksusowe cztery pokoje z kuchnią i łazienką i całym mnóstwem zakamarków, wielki metraż, słoneczne, w sam raz dla licznej rodziny gniezdzącej się gdzieś na strychu. „Ale” — jest tylko jedno. Z torbami może nawet pójdziemy, ale pod most nie. Jak dotąd — niestety, nie mamy się gdzie podziąć, toteż cały zespół gryzą wyrzutym sumienia, albowiem w czasie, gdy my plawimy się w luksusie lokalowym, zgnębieni ludzie czekają latami na własny dach nad głową.

Sytuacja powyższa jest jedynie cząstką znacznie szerszego problemu o podstawowej wadze w obecnej sytuacji mieszkaniowej.

Zarządzenie premiera (nr 11 z dnia 13 marca 1981 r.) zobowiązało organa administracji państwowej do dokonania przeglądu budynków i lokali zajętych na cele administracyjno-biurowe, wykorzystania w nich powierzchni oraz odzyskania lokali mieszkalnych wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. Polecenie zmierzano w dwóch kierunkach, raz — wykorzystanie powierzchni biurowej wraz z przemieszczeniem i zagospodarowaniem nadwyżek w budynkach niemieszkalnych, po wtóre — przywrócenie pierwotnej funkcji mieszkaniom. Ustalono normę przypadającą na jednego pracownika w wysokości 4 m kw. lub 7 m kw. plus 15 proc. powierzchni pomocniczej w biurach projektowych. Pełne zagospodarowanie „luźnych” biurów miało dać zwolnienie lokali z przeznaczeniem na cele mieszkaniowe i społeczne.

W województwie łódzkim utworzono zespoły i komisje kontrolne, koordynowane przez Wydział Spraw Lokalowych Urzędu Miasta Łodzi, z wiceprezydentem na czele. W ich skład weszli przedstawiciele urzędów dzielnicowych, miejskich, gminnych, radni, członkowie społecznych komitetów kontroli, związków zawodowych i organizacji społecznych. Zespoły — pracujące na podległym sobie terenie — dokonały przeglądu w kwietniu 1981 roku. Całość prac nadzorował Wydział Spraw Lokalowych Urzędu Miasta Łodzi. I tu też spływały wszelkie ustalenia. Rezultatem przeglądu jest dokument „Ocena realizacji uchwał w sprawie odzyskania lokali mieszkalnych, zajmowanych na cele administracyjne”. Tytuł nieco zawężony, ale w końcu kwestia mieszkaniowa jest tu najistotniejsza.

NA CZYM STOIMY

W województwie skontrolowano ogółem 1.188 urzędów, instytucji państwowych i spółdzielczych, terenowej administracji państwowej wraz z podległymi im jednostkami. Stwierdzono w nich nadwyżkę powierzchni 11.432 m kw. Na przykład: kontroli poddano 71 urzędów terenowej administracji państwowej z jednostkami podporządkowanymi. Zatrudniają one łącznie (pracownicy administracji i obsługa) 6.152 osoby. Zajmują powierzchnię całkowitą (podstawowa i pomocnicza) 46.581 m kw. w 2.397 izbach. Zatem — licząc statystycznie — na 1 pracownika przypada niecałe 7 m kw., czyli niemal dwukrotnie więcej, niż przewiduje ustalona norma. To tylko suche liczby, nie oddające sytuacji w poszczególnych jednostkach. Można jednak wyrobić sobie pewien pogląd, biorąc pod uwagę, że efektywnie powierzchnię tę wykorzystuje zaledwie połowa spośród wszystkich pracowników, bowiem obsługa (poza warsztatami) nie korzysta z oddzielnych pomieszczeń. Daje to również niejaki rozeznanie w strukturze zatrudnienia administracji państwowej, gdzie znakomita większość stanowią urzędnicy, przekładający z kąta w kącie papierki, zaś w bazach remontowych brakuje fachowców do konkretnych usług.

Analizując dalej siedziby administracji, w efekcie przeglądu stwierdzono, że z całkowitej powierzchni 46.581 m kw. na lokale mieszkalne przypada wielkość 1.057 m kw. Tymczasem żadnego z zajmowanych mieszkań nie oddano dla lokatorów, zaś na potrzeby ogólnospołeczne przekazano łącznie 3.467 m kw. Jednym słowem, szukająca mieszkań administracja ani jednego mieszkania nie wypuściła ze swej reki, a z ujawnionych nadwyżek powierzchni oraz mieszkań zajętych na biura ogółem 11.432 m kw., jedynie 15,8 tys. m kw. przeznaczono na mieszkania, czyli raptem 15 proc.

Spore możliwości tkwią w przemieszczeniu biur i instytucji. Jeśli firma ulega likwidacji, w opuszczonym budynku biurowym można zmieścić kilka innych firm, przydzielając powierzchnię zgodnie z ustaloną normą. Zaś te przeniesione zwolnią tym samym zajmowane przez siebie lokale, dotyczy to szczególnie budynków lub lokali podlegających kwaterunkowi. Przeważnie są to budynki nie nadające się na mieszkania, jednakże ujawnione nadwyżki powierzchni mogą być zagospodarowane na inne cele społeczne. Na przykład dla służby zdrowia przeznaczono obiekt po KD PZPR Łódź — Górna przy ul. Sieradzkiej 11, a nowy budynek przy ul. Lodowej — niedoszły hotel OHP — ma zostać przeznaczony na Dom dla Przewlekłe Chorych. Pewne obiekty uzyska także szkolnictwo wyższe, jak choćby budynek po Wydziale Finansowym Łódź — Polesie przy ul. Jaracza 78 dostanie Uniwersytet Łódzki, a przy ul. Młynarskiej 42, po siedzibie OHP, będzie akademik dla PWSSP. To samo dotyczy handlu lub organizacji społecznych.

Likwidacja zjednoczeń, szczególnie licznych właśnie w Łodzi, powinna byłaby dać sporą liczbę wielkich biurowców w których znalazłby siedzibę rozmaite inne instytucje, na przykład ZOZ Łódź — Polesie ma dostać budynek przy al. Kościuszki 3 po Zjednoczeniu Przemysłu Wełniarskiego — Półoś lub pomieszczenia po Zjednoczeniu Surowców Włóknistych (przy okazji — co robiło to zjednoczenie, skoro nikt dotąd nie rozwiązał u nas problemu puszek po konserwach czy butelek?). Otóż ma się w to miejsce przenieść „Inwestprojekt”, ta zaś firma zwolni budynek przy ul. Pasterskiej przeznaczony na mieszkania. Są jednak i takie sprawy, jak choćby ta: w budynku po Zjednoczeniu Przemysłu Lniarskiego przy ul. Sienkiewicza mają mieć siedzibę biura pełnomocników ministra do spraw przemysłu lniarskiego i ba-

Są mieszkania, ale niezupełnie

JOLANTA WRÓNSKA

wełnianego oraz zrzeszenia. Czyli masło maślane.

W przywołanym na wstępie dokumencie jest takie zdanie: „...wspomniane propozycje (gdzie kogo przenieść, kogo ścieśnić, co i dla jakich celów przeznaczyć — przyp. JW) częściowo są zgodne ze stanowiskiem poszczególnych resortów. Resorty mają przesłać w maju br. władzom województwa nowe propozycje zagospodarowania pomieszczeń biurowych po likwidowanych zjednoczeniach”. Jasne, częściowo są zgodne. Każdy broni swego stanu posiadania i zawsze można wmówić, że absolutnie nie da się niczego zwolnić. Pamiętam wizytę w gmachu Zjednoczenia „Polski Len”. Każdy kierownik działu, każdy zastępca miał swój gabinet. Ten wielki budynek jest w stanie pomieścić całą furę przeróżnych firm i jeszcze będzie luźno. Więc kto tu rządzi? Władze miasta czy resorty? I kto komu stawia warunki? Okazuje się, że „zapal Kozak Tatarzyna...”. Są na przykład obiekty, znajdujące się na terenie zakładów, a więc niedostępne dla kontroli administracji wojewódzkiej. Czy są one wykorzystane zgodnie z normą, czy i kogo się dokwateruje lub na co przeznaczy budynek — zależy wyłącznie od decyzji zakładu. I koto się zamknęło, bo ani kontrola władz nie jest kompletna, ani nie można zmusić przedsiębiorstwa do podporządkowania się normatywowi. Pozostaje jedynie nadzieja, że oczekujący na mieszkania pracownicy danego zakładu wywra „wewnętrzny nacisk” na swe kierownictwo, by szukało wszelkich możliwych sposobów uzyskania choćby zastępczych mieszkań. By uzyskać mieszkania, o co przecież w całym przeglądzie chodziło, można adaptować na cele mieszkalne niektóre budynki administracyjne, ale przede wszystkim należy wyprowadzać instytucje z zajmowanych mieszkań.

Obecnie, według danych Urzędu Miasta Łodzi, w osiedlach mieszkaniowych zajętych jest na cele niemieszkalne 255 lokali (13 tys. m kw.). Przykładowo: na Widzewie — Wschodzie aż 104 mieszkania, na Radogoszczu — 22, na Retkini — 60. Zajęte są również mieszkania kwaterunkowe. Wspomniany dokument przynosi również plan „odzyskania lokali biurowych na cele mieszkalne”. Do roku 1985 ma być zwolnionych... aż 347 mieszkań. Co ciekawsze, propozycja „odzyskania” w stosunku do zablokowanych lokali w poszczególnych osiedlach są następujące: ze 104 mieszkań na Widzewie do 1985 roku ma się odzyskać 9 mieszkań (!). Do końca I kwartału 1982 r. odzyskano już (!) 73 mieszkania (Bałuty — 25 z planowanych do 1981 roku 141, Górna — 1 z 55, na Polesiu — 10 mieszkań z 69).

CO WIE ADMINISTRACJA

wobec powyższych danych, odwiedziłam niektóre urzędy dzielnicowe, by zorientować się w przebiegu prac w tym zakresie. Okazuje się otóż, że ubiegłoroczna akcja przeglądu, powołane komisje oraz ogólny ruch w interesie — to była krótkotrwała i jednorazowa akcja. W Urzędzie Dzielnicowym — Bałuty, na pytanie, kto zajmuje się sprawą przeglądu, usłyszałam, że... to przecież było w zeszłym roku, teraz już nikt tym nie kieruje, a w ogóle to sprawdzanie poszło przecież do Urzędu Miasta Łodzi. I część pieśni. Zrobiono co kazali, wypchnęli papiery i spokój.

W urzędzie śródmiejskim także nikt nie potrafił poinformować mnie, co z tymi mieszkańami. Na Polesiu garść danych: odzyskano 14 mieszkań i tyleż zasiedlono. Okazuje się przy tym, że nie zawsze udaje się wyprowadzić jakąś firmę z zajmowanego mieszkania. Na przykład: Spółdzielnia Elektryków przy ul. Lipowej, zajmująca 3-pokojowe mieszkanie w

bloku, nie dała się podejść i wygrała nawet w Sądzie Administracyjnym.

W tym miejscu jeszcze raz trzeba wrócić do dokumentów. Mimo, iż kontrola objęta została również spółdzielnie mieszkaniowe, w „planie odzysku na cele mieszkaniowe nie ujęto mieszkań w blokach spółdzielczych, zajętych na żłobki, przedszkola, apteki itd., przyczyną jest nienadanie budownictwa towarzyszącego na osiedlach”. Przewiduje się natomiast adaptowanie na mieszkania biurowców, miast umieścić tam niektóre z powyższych instytucji, jeśli byłoby to możliwe.

Generalny wniosek z wizyt w Urzędach jest taki: przeprowadzono jednorazową kontrolę, twierdząc, iż uzyskano pełne informacje, zaplanowano „odzysk” i koniec. Tymczasem dokonany na własną rękę zwiad przyniósł zdziwiająca fakty. W rok po dokonaniu przeglądu, przy ul. Limanowskiego, w najlepsze rezyduje administracja osiedla „Wielkopolska”. Czy naprawdę nie znaleziono dla niej innego miejsca, niż mieszkanie? Przy Traktorowej stoją dwa puste mieszkania. Oniś wykwaterowano stąd lokatorów, a wprowadzono magazyn i biura rozsiadłej tuż obok bazy remontowo-budowlanej. Baza ma spory teren i dużo pomieszczeń. Po co więc były jeszcze dwa mieszkania i cały kołowrót z szukaniem dla lokatorów innych mieszkań? Okoliczni mieszkańcy twierdzą, iż mieszkania te wykorzystywane są na... bankiety. Ile w tym prawdy, nie wiem... Minał rok, spłoszona przez kontrolę firma udało, że się wyprowadza i... mieszkania dalej stoją puste.

Przy Piotrkowskiej wiele reprezentacyjnych kamienic wysiedlono, co się tam dźwiębi, a w międzyczasie zdążono wstawić kilka „plomb”, gdzie już mieszkają lokatorzy. Przy Narutowicza, w pięknym, dużym mieszkaniu, miesi się rejonowe koło FJN. Raz na tydzień odbywają się zebrania, poza tym lokal stoi pusty. Czyżby szacownej instytucji nie dało się przenieść do dwóch pokoi w jakimś „zageszczonym” właśnie biurowcu? I jeszcze — pusty budynek u zbiegu Narutowicza i Piotrkowskiej i przy Obrońców Stalingradu 27. Stoją, niszczącą i nie mają gospodarza. To tylko kilka z wielu przykładów, ale od tego, by wiedzieć, gdzie i co ma w posiadaniu, jest — jednak — administracja miasta.

Z PUSTEGO W PRÓŻNE

Wnioski wynikające z lektury zbiorczego dokumentu oraz rezultaty własnych obserwacji dają, niestety, bardzo ciemny obraz.

W rok po zakończonym przeglądzie nikt w poszczególnych urzędach sprawy nie nadzoruje. Powołane komisje ograniczyły się do jednorazowej akcji i nie interesują się dalej problemem. Nie ma osoby odpowiedzialnej za aktualizowanie danych, za uzupełnianie przeoczeń. Musi to być akcja ciągła, stale kontrolowana, polegająca przede wszystkim na zbieraniu najświeższych informacji. Odbiegłony — na użytek organu nadrzędnego — plan działań w zupełności pomija milczeniem ewentualny dopływ nowych danych, możliwości techniczne (czyli kto ma adaptować mieszkania, kiedy i dla kogo). Zupełnie pominięto zagadnienie włączenia w działania kontrolne wielu mieszkań posiadanych przez jedną rodzinę, mieszkań osób, które na stałe wyjechały za granicę, oraz całej sfery nielegalnego obrotu mieszkaniami. Fakty wskazują, iż tymi właśnie lukami wycieka z informacji spora liczba nie zewidencjonowanych mieszkań.

Cała akcja przesuwania i zagospodarowania nadwyżek powierzchni w biurach i instytucjach, jest właściwie ruchem pozornym, albo — co gorsza — pozorowanym. Tu się zago-

spodarowuje wielkie gmachy, ówdzie przeniesie parę biur, gdzie indziej jeszcze odbierze się siedzibę ZHP, żeby dać ją na przedszkole. Robi się same ruchy, a mieszkań nadal nie ma. Bo — dajmy na to — taki przykład. Do pomieszczeń biurowych po Łódzkim Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Remontowo-Budowlanych przy Piotrkowskiej 173, wprowadza się przedsiębiorstwo budowlane z ul. Milionowej. Obiekt przy Milionowej przeznaczony jest dla DIM (??) z ul. Dąbrowskiego, a na tę ostatnią ulicę przeprowadzi się Komenda MO (chyba do tychczas bezdomna, bo brak danych, skąd się milicja wyprowadza i co się tam pomieszc). Zrobiono hokus-pokus i co? Ani jednego mieszkania nie odzyskano.

Prawdziwą szansą natychmiastowego otrzymania mieszkań i choć w małym procencie skrócenia kolejki oczekujących jest ta zgubiona po drodze drobnica. Większość terenowych organizacji partyjnych, kół FJN, placówek ORMO, związków emerytów i rencistów, Ligi Kobiet i szereg innych, ma swe siedziby właśnie w lokalach mieszkalnych. Po co adaptować biurowiec na przychodnię (wysokie koszty instalacji urządzeń niezbędnych dla placówki medycznej) lub klećci niskostanدارowe mieszkania zastępcze, jeśli można po prostu wprowadzić do nich powyższe instytucje, ulokować w pobliskich lokalach zakładów pracy lub instytucji, jeżeli takie są, uzyskując od ręki sporo gotowych mieszkań.

Osobną sprawą jest kompletny bałagan w regulacjach prawnych tyczących przekazywania nieruchomości na rzecz innego użytkownika. Toteż wcale częste są przypadki, że zakłady między sobą handlują obiektami, nie informując o tym administracji państwowej. Rządzą się tu resorty, każdy jak mu wygodnie.

Jedynym wyjściem jest skupienie kompetencji w rękach wojewodów i prezydentów miast. Absolutnie zawarowane prawo pierwokupu lub przejęcia nieruchomości musi mieć władza administracyjna. W ten sposób aktualizowana będzie informacja o stanie posiadania, jakości technicznej obiektów, możliwościach wykorzystania i terminach. Nie ma się co ludzi, że dane Urzędu Finansowego (podatki od zajmowanych lokali) dadzą kompletne rozeznanie, kto co ma i jak z tego korzysta.

Wreszcie ostatni problem. Rzecz dotyczy adaptacji budynków, które — na papierze — przeznaczone na mieszkania. Zapewne w związku z tym pozostaje brak informacji, ile mieszkań już zasiedlono, wedle jakich kryteriów są przydzielane, a przede wszystkim, jaki jest ich stan. Otóż gromkie deklaracje o przeznaczaniu licznych budynków na mieszkania wyglądają inaczej przy bliższym wglądzie. W przeważającej większości są to budynki, które nie były budowane dla celów mieszkalnych, zatem ich adaptowanie sprowadza się do kilku podstawowych pytań: kto, z czego i kiedy zapłaci za prucie gmachów aż po fundamenty? Kto ma to zrobić, jeśli w przedsiębiorstwach budowlanych większość mocy zaangażowana jest na wielkich budowach osiedlowych? Pomijając preferencje dla „dużej mieszkaniówki”, pozostaje sprawa cen i bilansu materiałów budowlanych oraz totalnego braku chętnych do pracy w budownictwie. Adaptacja i remonty kapitalne są na ogół znacznie żmudniejszą, bardziej specjalistyczną robotą, niż stawianie nowych bloków. W Urzędach Dzielnicowych na pytanie, kto ma remontować przydzielone lokatorom mieszkania w pobliższych budynkach, słyszałem, że sami lokatorzy we własnym zakresie. Jeszcze tam, gdzie z inicjatywy pracowników ich zakład wygospodarował budynek na mieszkania (jak np. budynek biur „Ely” przy ul. Kopernika), sprawa jest prostsza. Firma ma fundusz socjalny i znajduje się fachowcy. Ale jeśli taki lokal dostanie prywatna osoba z listy oczekujących, to co wtedy?

Na koniec, ostatni, ale wymowny przykład lekkomyślnego zbycia sprawy mieszkań. Na wstępie wspominałam, że redakcja „Odgłosów” gotowa jest natychmiast oddać zajmowane przez siebie mieszkania. Ponieważ gmach prasy przy ul. Piotrkowskiej 96 trzeshczy w szwach (stąd emigracja „Odgłosów” do rzeczowego mieszkania), wobec tego umysłono, by wielki „Gmach Telewizji” przy Narutowicza — po likwidacji zjednoczeń w całości przeznaczyć dla potrzeb prasy i telewizji. Do tego gmachu przeniosłby się też „Odgłosy” zwalnając zajmowane obecnie mieszkania. Problem jednak w tym, że potrzebne są jeszcze warunki umożliwiający pracę redakcji. Konieczna jest więc gruntowna adaptacja pomieszczeń, co będzie sporo kosztować, zrobić nie ma kto, toteż i termin oddania jest mocno mglisty. Konieczne są jeszcze dodatkowe inwestycje. Brakuje stółki wraz z zapleczem kuchennym oraz klubu dla dziennikarzy. Gdyby jednak cud się zdarzył, wó czas — wedle pomysłu urzędników — gmach przy Piotrkowskiej 96 oddano by dla ZSMP, żeby sobie w ramach patronatu adaptowała tam mieszkania. Jest to pierwszorzędny pomysł! Koszta tej adaptacji (prucie ścian, prowadzenie instalacji, przebudowa ścianek działowych) znakomicie przewyższają cenę postawienia bloku na nieużywanym terenie, mieszczącego tyle samo mieszkań, ile się uzyska przez adaptację. Ponadto, ktokolwiek zna gmach prasowy, zwłaszcza zaś jego rozkład, ten wie, że nawet po remoncie trudno będzie tam urządzić mieszkania. Po prostu musiałby być to lokal bez łazienek, ze wspólnymi kuchniami, nie mówiąc już o komunikacji wewnętrznej gmachu. Budynek ten, zważywszy pokaźną kubaturę, jego pierwotne przystosowanie dla celów biurowych oraz usytuowanie w centrum miasta, może z powodzeniem pomieścić wielką ilość instytucji, wykwaterowanych z mieszkań. Jest to jedyne sensowne rozwiązanie dające się przenieść na inne obiekty.

Jeśli jednak akcja pozyskiwania mieszkań ma wyglądać tak, jak dotychczas, to żadne plomby i żadne strychy nie złagodzą wioletowego oczekiwania na własny dach nad głową.

*)Pozornym zresztą — gdyż w czteropokojowym mieszkaniu pracuje 16 osób — Red.



Foto: M. Zajdler

Czasy pogardy

Ukazało się ostatnio kilka książek podejmujących temat okupacji hitlerowskiej na polskich kresach. Wymienić tu trzeba „Krasnogród” Władysława Młeczka, „Kobieta z mieczem w czasze” Andrzeja Turczyńskiego, a przede wszystkim „Noc nad miastem” Ferdynanda Zamojskiego.

Ta ostatnia powieść jest najobszerniejsza i w poważnym stopniu wypełnia istotną lukę w naszej literaturze. Wydarzenia i przeżycia znane autorowi z autopsji sprawiają, że otrzymaliśmy książkę wiarygodną nie podrywającą zaufania czytelnika do pisarza. Można oczywiście zarzucić utworowi pewne zachwianie proporcji; zbyt np. wiele miejsca daje autor drobiazgowym opisom handlowych „operacji” na bazarze, ale w sumie wyrasta z tego omal epicki obraz czasów pogardy w kresowym mieście (Stanisławów). Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Huculi, wojska niemieckie, węgierskie — stanowiło to wszystko historyczny spłot, który rozwiązał się dopiero w chwilę przyśpiewki wojsk radzieckich. Ale na to trzeba było czekać kilka lat.

I ten właśnie czas ukazany jest na przykładzie losów rodziny Krystiana, którego matka jest Ukrainką, a ojciec Polakiem. Wrześniowa zawierucha spowodowała, że do domu nie wrócił brat Paweł. Pomiedzy bratową a Krystianem nawiązuje się romans, bo życie musi toczyć się wraz ze swymi odwiecznymi wymaganiami nawet w najcięższych warunkach.

Redaktor książki Andrzej Bogusławski słusznie zauważa, że nowa książka Ferdynanda Zamojskiego opowiada o sprawach mało dziś znanych, zwłaszcza młodemu pokoleniu: o tragicznych i skomplikowanych losach mieszkańców miasta na Podolu, gdzie hitlerowski najezdnica stosował perfidną zasadę: dziel i rządź, wykorzystując nawarstwiający się od wieków nienawiść i uprzedzenia. Szczególnie tragiczne okazały się losy Żydów w pierwszej kolejności skazanych na zagładę. Niewiele dawała bohaterka pomoc Polaków.

Wiele ciepłych słów kreśli Zamojski pod adresem prostego chłopca ukraińskiego, który niejednokrotnie ratował mieszkańców miasta przed głodową śmiercią. „Kochany, gościnny ukraiński chłop honorowy i szczerzy. Szkoda tylko, że niekiedy z nich dali się otumanić i zarazić zbrodniczym faszyzmem”. Oto fragment powieści (str. 223), w którym zawarty jest ów obiektywny stosunek, prostujący wiele krańców fałszywymi tropami sądów i opinii.

Bo w ogóle Zamojski bardzo ambitnie stara się znaleźć dobrą prawdę o każdym człowieku na dniu czarnego oka okupacji. Swego bohatera niejednokrotnie stawia przed trudnymi moralnie wyborami. Czy Krystian zawsze dokonuje tych operacji właściwie? Ocenic musi sam czytelnik. Ma zadanie poniekąd ułatwione, bo „Noc nad miastem” odznacza się solidną, pisarską robotą. Zamojski jest „dobry” w opisie przyrody, krajobrazu, szczerzy w przedstawianiu stanów psychicznych. Umiejętne wprowadzenie języka ukraińskiego podsyca unikalny klimat powieści.

Bardzo sugestywną obwołaną zaprojektował Zygmunt Zaradkiewicz. Odnotować to trzeba z tym większą starannością, gdyż prawie nigdy nie czynią tego recenzenci. A szkoda. Bo przecież pierwszy kontakt z książką jest dzięki jej okładce!

EMIL BIELA

Ferdynand Zamojski „Noc nad miastem” — Wydawnictwo MON, Warszawa 1981, str. 420, cena 40 zł.

I podpięta swój punkt widzenia nazwiskami kolejnych komendantów Legionów. Tylko że masa żołnierska, a i większość oficerów zapatrzona była w swego komendanta i kierował on faktycznie czynnym zbrojnym legionowym tak, jak później w Odrodzonej Polsce, najwyższych godności państwowych nie sprawując, stał za każdą ważniejszą decyzją. Także za tymi wymierzonymi w demokrację i postępek społeczny.

Ma R. Kaźmierak za złe Piłsudskiemu, że związał się z Austro-Węgrami i Niemcami. Związał się z Austrią, zgodnie z teorią mniejszości zła, tam zresztą jeszcze przed wybuchem wojny najłatwiej było prowadzić działalność niepodległościową, ale czasowych sojuszników raczej nie kochał, na co dawaliśmy przykłady w swych artykułach. Pomaga mi zresztą R. Kaźmierak przytaczając piosenkę obiegającą legionowe biwaki:

„Gdy skończym z Nikołą
pójdziem na Wilhelma
odbić Wielkopolskę
co ją dlawi szelma”.

Z Nikołą, jak wiadomo, skończyła w Rosji socjalistyczna rewolucja, ale nie odpowiada prawdzie to, co twierdzi R. Kaźmierak, że Piłsudski znalazł się w „kompromitującej go jako polityka sytuacji”, że „pozostał na placu boju bez wroga, w sojuszu z wrogami Polski”. Rzeczywiście nie był w stanie „pójść na Wilhelma” i powiedział to namawiającym go do uderzenia na Niemców oficerem I Brygady (artykuł „Na drodze do Polski Niepodległej”), ale decyzją odmowy złożenia przysięgi w lipcu 1917 roku zerwał dotychczasowe sojusze.

W budzący wątpliwości sposób interpretuje R. Kaźmierak kryzys przysięgowy 1917 roku, wyrażając przekonanie, że uratowali reputację Piłsudskiego Polacy z armii rosyjskiej, stwierdza, że o tym myślał prof. Konstanty Grzybowski pisząc: „Szedł od kłeski do kłeski, każda kłeska była równocześnie jego zwycięstwem”.

Gdyby R. Kaźmierak przeczytał całą na ten temat wypowiedź Profesora, nie napisałby tego, co napisał. A mnie nie pozostaje nic innego jak przedstawić większy fragment wypowiedzi Konstantego Grzybowskiego:

„Józef Piłsudski szedł od kłeski do kłeski, każda kłeska była równocześnie jego zwycięstwem, pozostał po niej mit Wielkiej Sprawy i mit człowieka — symbolu tej sprawy, który przez to stał nad wszystkim i nad wszystkimi. Przegrywał w roku 1905, gdy chciał połączyć w jedno rewolucję i powstanie narodowe, pozostał po tej kłesce mit człowieka, który pierwszy po roku 1863 rozpoczął zbrojną walkę z zaborcą i który w tej walce nawiązał do „czerwonuch” powstania.

Przegrywał, gdy po rewolucji chciał uczynić z socjalizmu polskiego powolne w swoim ręku narzędzie dla podjęcia tej walki, stworzył wtedy zwariata, karną, ślepą mu oddaną Frakcję Rewolucyjną.

Przegrywał, gdy chciał w sierpniu 1914 roku stworzyć koto siebie siłę walczącą z Rosją, a od dwóch innych zaborców niezależną, pozostał po niej mit samodzielnego czynu polskiego i przekształcenie rewolucyjnych bojowców w regularną, jemu tylko oddaną pierwszą brygadę. Przegrywał potem próbę stworzenia polskiej armii w Królestwie pod swą komendą, armii z okupantem sprzymierzony, ale od niego militarnie i politycznie niezależnej powstał po tej próbie mit magdeburkiego więźnia. Ponosił kłeskę, gdy oddał decyzję o losach Polski w ręce Sejmu, a w Sejmie zdobyli większość jego przeciwnicy, pozostał po tym okresie mit Naczelnika Państwa stojącego ponad walkami partyjnymi, w walce z nacjonalistyczną reakcją. Ponosił kłeskę w swej koncepcji Polski od górnej Odry do Dniepru i Dniepru, hegemonia Europy między Niemcami a Rosją, pozostał po niej mit wodza, który pierwszy po Chrobrym i Śmiałym wszedł przez kijowską Złotą Bramę, wódza, który pierwszy po Sobieskim dał Polsce zwycięstwo w wojnie”. I pisze dalej Grzybowski, że „Siła Piłsudskiego, jak długo nie doszła do władzy było, że jako człowiek był symbolem tego, co jednocyfrowo...”

Są w polemice R. Kaźmieraka zarzuty zupełnie nieuzasadnione. Pisze na przykład, iż „wymaga przynajmniej zasygnalizowania, że „Rząd Narodowy” i „jego” odezwa do narodu z 3 sierpnia 1914 roku to wielka mistyfikacja J. Piłsudskiego” oraz że „POW nie powstała w pierwszym tygodniu wojny, lecz została założona jesienią 1914 roku”.

Gdyby R. Kaźmierak uważał przeczytał mój artykuł „Na drodze do Polski Niepodległej”, znalazłby tam fragment następujący: „Rządu Narodowego w Warszawie wtedy nie było, natomiast w pierwszych tygodniach wojny utworzono w Warszawie Polską Organizację Wojskową”.

Wprowadza także R. Kaźmierak wiele kwestii dla tematu „Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego” mało lub zupełnie nieprzydatnych. Do takich należy na przykład wywód o kolejnych związkach małżeńskich Marszałka. Jak to komponować w problematykę myśli politycznej, dalebóg nie wiem, chyba żeby w sukurs przywołać panazagłobowe powiedzenie: „polityczny z waści kawaler”. Są w artykule R. Kaźmieraka także stwierdzenia mocno naciągane. Nie można — powiada — mówić, że ojciec Józefa Piłsudskiego przynosił się z Kowieniszczyn na Wileńszczyznę uchodząc przed prześladowaniami, bo tam także mogły go one doświadczyć.

Drogi Panie! Kto przeżył okupację hitlerowską na ziemiach polskich wie, że poszukiwani za działalność konspiracyjną ludzie przenosili się czasem nawet tylko z powiatu do powiatu i to już dawno im większą szansę przetrwania. Po co więc posługiwać się takimi argumentami?

Przy tych wszystkich uwagach krytycznych artykułu R. Kaźmieraka uważam za wartościowy i potrzebny. Wprowadza bowiem do podjętego przeze mnie tematu szereg nowych elementów — wzbogacających wiedzę o Józefie Piłsudskim i o czasach, w których działał. Wdzięczny także jestem za zwrócenie uwagi na nieścisłości, jakie mi się przydarzyły, a które przydarzyć się nie powinny.

Główny przedmiot naszego sporu to miejsce Piłsudskiego w dziejach narodowych. Pisze R. Kaźmierak: „Pokazujemy więc J. Piłsudskiego takim, jakim był naprawdę, a nie takim, za którego sam chciał uchodzić”. Zgadając się w pełni z takim stanowiskiem chciałbym jednak uzupełnić je następująco: „Pokazujemy J. Piłsudskiego takim jakim był naprawdę, a nie takim, jakim chcieliśmy go widzieć”. Myśl tę dedykuję autorowi polemiki.

I jeszcze jedna refleksja. Z tych samych jak sądzę, wychodząc pozycji zaprezentowaliśmy odmienną punkty widzenia na rolę i miejsce Józefa Piłsudskiego w historii. Czas pokaże, kto z nas był bliższy marksistowskiej oceny faktów, zjawisk i ludzi. A ponieważ przekonywać się wzajemnie moglibyśmy w nieskończoność, ja ze swej strony polemikę na temat Józefa Piłsudskiego kończę niniejszą wypowiedzią.

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

No i nolens volens raz jeszcze w sprawie Józefa Piłsudskiego głos zabierać ma przyszło, a wszystko to za sprawą Ryszarda Kaźmieraka, który w swym polemicznym artykule „Józef Piłsudski — legenda a rzeczywistość” („Odgłosy” nr 8 z 28 maja 1982 roku) próbuje mnie odsądzić od czci i wiary! — jak to zwykle w takich sytuacjach bywa — gdy ktoś za wszelką cenę chce udowodnić drugiemu, że nie ma racji — w rozliczne pułapki się ładuje i sam sobie zaprzeczać zaczyna.

Już na wstępie stwierdza R. Kaźmierak, że mój esej zawiera „zbyt wiele własnych myśli”. Zarzut ten traktuję z całą powagą i chyba dlatego w swoim artykule nie wychodzi poza stereotypy myślenia o Piłsudskim, uformowane w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej. Odnoszę zresztą wrażenie — proszę mi wybaczyć, jeżeli się mylę — że autor polemiki rozpoczął jej pisanie już po pierwszym odcinku „Myśli politycznej Józefa Piłsudskiego”, a po drugim ją zakończył. Gdyby bowiem przeczytał uważnie odcinek trzeci: „Od naczelnika do dyrektora”, zrezygnowałby, sądząc, z kilku zarzutów pod moim adresem.

R. Kaźmierak nie lubi skrótów myślowych, bo nie wierzy, aby ich nie rozumiał, a takim skrótem było moje stwierdzenie o Piłsudskim, że „pozostał w świadomości narodu przede wszystkim jako ten, który Polskę wywalczył”. R. Kaźmierak bierze to dosłownie i próbuje mi udowodnić coś, co jest przecież oczywiste, że to nie Józef Piłsudski wyłącznie do niepodległości się przyczynił. Legendy nie kształtują świadomości narodu — powiada — świadomość narodu kształtuje między innymi historia.

czasem — jak pisał w 1967 roku w postawie do „Huraganu” Wacława Gąsiorowskiego Stanisław Zieliński: „Taką mieliśmy przeszłość, że tyle było Polaków, ile kompanii i szwadronów, ile patriotycznej ofiarności i męstwa. Gdyby ta przeszłość była licha i obdarta z wszelkich wartości, świat dawno zapominałby o Polsce i Polakach. Nie byłoby po nas śladu na żadnej mapie Europy”.

Czy w jakimkolwiek okresie swego życia był Józef Piłsudski socjalistą? Z wypowiedzi Piłsudskiego, jakie przytoczyłem w swoich artykułach wynika że w pewnym okresie swej politycznej działalności niewątpliwie tak. R. Kaźmierak ma zdanie odmiennie, ale argumentuje bardzo nieprzekonująco. Sam Piłsudski — powiada — stwierdzał, że socjalizm w jego życiu to moda, epidemia. Tylko że Piłsudski mówił to mając lat niepełna dwadzieścia o swych poglądach sprzed lat kilku. Miał lat 33 i doświadczenia zesłańca za sobą, gdy w artykule „Jak stałem się socjalistą” stwierdzał, że „niepodległość jest niezmiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce”.

Jakie dowody przytacza R. Kaźmierak? Oto cytuję, i to niestety kilka razy, trylogię Bolechowskiego „Wódz Narodu”. Sądzę, że chodziło o 3-tomową powieść Gustawa Olechowskiego „Wódz” gdzie np. na stronie 203 znajduje się przytoczony przez R. Kaźmieraka fragment wypowiedzi Piłsudskiego o Róży Luksemburg, a na stronie 48 o organizacji Ziemia i Wola.

I tu się zaczyna całe nieporozumienie. Książka Olechowskiego to naprawdę duży wkład w tworzenie kultu Piłsudskiego. Gdy autor pisał swą powieść, socjalistyczny etap w życiu marszałka stara-

Polemiki

Gdzie leży prawda o Józefie Piłsudskim

Coś tu nie tak! Jeżeli zgodzimy się, że legenda to „przekształcenie osobowości historycznej, jej życia i czynów pod kątem przystosowania jej do koncepcji, którą sobie współcześni na ile nastroju epoki o niej wytworzyli”, trudno byłoby przyjąć pogląd, iż nie ma ona wpływu na kształtowanie się świadomości narodu. Nawiasem mówiąc, proponowany przez R. Kaźmieraka podział na świadomość i nieświadomość jest nie do przyjęcia. Jego zdaniem legendy nie kształtują świadomości, natomiast pogłębiają nieświadomość. Ja sądzę, że legenda, wywierając wpływ na kształtowanie świadomości narodu, może, choć nie musi, pogłębiać jego nieświadomość.

Gdyby R. Kaźmierak chciał dostrzec w moich artykułach i rzeczy niewygodne dla jego koncepcji polemicznego ataku, przeczytałby w „Rozważaniach wokół legendy”, że „w przypadku Józefa Piłsudskiego — możliwość odzyskania niepodległości Polski stworzyła rewolucja socjalistyczna w Rosji — natomiast czyn zbrojny stworzony przez Piłsudskiego Legionów oraz jego działalność polityczna stanowiły jeden z podstawowych czynników, które tę możliwość przekształciły w rzeczywistość”. A więc jeden z czynników, a nie monopol na niepodległość — jak mi to imputuje R. Kaźmierak.

I — kończąc tę kwestię — chciałbym na chwilę jeszcze wrócić do tego, jakim przede wszystkim pozostał Piłsudski w świadomości narodu. Ludzie starsi, tamte czasy pamiętający, zapytani o Piłsudskiego zaczynają od stwierdzenia: walczył o Polskę!

Nie zgadza się ze mną R. Kaźmierak, że „po drugiej wojnie światowej o Piłsudskim oficjalnie zapomniano”, przytacza argumenty tysięcy książek w kraju i na emigracji, programów szkolnych i podręczników, a także charakteryzuje kult Piłsudskiego w okresie międzywojennym. Próbuje mnie zresztą w tej sprawie poenić ze Stefanem Kisielewskim. To już jest duża zabawa! Kisielewski ten stan rzeczy krytykował w wyjątkowo ostry sposób (co w artykule „Czas, w którym wzrastał” zdecydowanie potępiłem), ja natomiast stwierdziłem stan faktyczny, próbując wyjaśnić, dlaczego tak się stało.

Co to znaczy: oficjalnie zapomniano o Piłsudskim? Po prostu przemilczano to, co stanowiło jego niezaprzeczalny wkład w odrodzenie państwa, a eksponowano cechy i działania negatywne, aż do posądzeń, że to „agent niemiecki!” Książki wydane na emigracji w tym przypadku mnie nie interesują, książki wydawane w kraju zbieżne były z punktem widzenia R. Kaźmieraka, a co do programów i podręczników szkolnych z lat 40-tych, 50-tych i nawet 60-tych, to wolałbym nie podejmować polemiki z tej prostej przyczyny, że ja je znam.

I naprawdę nie potrzebuje przekonywać mnie R. Kaźmierak o szkodliwości wywołanego kultu Józefa Piłsudskiego w okresie międzywojennym. Widziałem też u schyłku lat 30-tych na Wołyniu owe maleńkie lepianki „w których zamiast szych tkwiły w otworach okiennych baranie pęcherze”, co dyktatorowi chwali nie przyniosło, ale twierdząc, że prawda o Piłsudskim leży na obszarze między jego kultem w okresie międzywojennego dwudziestolecia, a oceną jego postaci w pierwszych dziesięcioleciach naszej władzy.

Przyłapał mnie — i słusznie — R. Kaźmierak — na nieprecyzyjnym stwierdzeniu, że czas najnowszy przyniósł ze sobą odrodzenie kultu J. Piłsudskiego. Powinienem był napisać — próby odrodzenia tego kultu, bo próby takie miały przecież miejsce i zgadzam się z autorem że „kult Piłsudskiego odrodzić już nie można”. Nie można i nie trzeba! Trzeba natomiast mówić prawdę o Piłsudskim i w tym co jest nam wygodne i co wygodne nie jest, bo znów rację ma R. Kaźmierak, choć nie jest to akurat polemika ze mną, że ocena roli Piłsudskiego w historii narodu „to jednak jeszcze w większym stopniu polityka, niż historia”.

W artykule „Czas, w którym wzrastał”, pokazałem w ogromnym zresztą skrócie, społeczno-polityczne stosunki na ziemiach polskich po ostatnim z narodowych powstań I znow R. Kaźmierak zrozumiał to tak, jak było mu wygodniej. Ja podkreślałem, że ci, których stać było na czynny opór, znajdowali się w mniejszości, R. Kaźmierak ma za złe Piłsudskiemu, że zwałwał tych, którzy — jak napisał — „odrzucałi awanturnicze hasła walki zbrojnej”.

Co to znaczy — awanturnicze hasła walki zbrojnej? Czy chodzi o walkę bez szans na powodzenie? Ale wtedy trzeba by tam zaklasyfikować i szlak bitewny Legionów Polskich we Włoszech, i polskie karty epopei napoleońskiej, i wreszcie walkę kilkunastu tysięcy żołnierzy brygad legionowych, upatrujących szansę w starciu między zaborcami. Tym-



no się przemilczeć i Olechowski zrobił wszystko, by udowodnić, że Piłsudski socjalistą nigdy nie był. Tylko że takiej powieści jako źródło historyczne traktować nie można.

A żeby nie znający tej książki czytelnicy wiedzieli, jaką ma ona wartość naukową, przytoczę tylko kilka zdań z prologu pt. „Wyrok Boży”:

„...I począł duch niewidzialny odwiedzać dwory, patrzeć na ludzi, na czyny ich, szukać gdzie kobieta w pológ zlec miała, czyhać na przyświecie na świat dziecka... Aż aż przyszedł do Żułowa, pod stołec Gedyminową... Czuwał i czekał na chwilę cudowną... Jakież szczęście dla dziecka, gdy ucieli się w nie istota wyższa, która przesyła już kiedyś gehennę zła!”

Wprawdzie w I tomie — w „Od autora” stwierdza on, iż prolog na przykład i te punkty powieści, które są z nim związane — są plodem fantazji i stosunku autora do zjawisk lub idei metafizycznych, ale że cała powieść jako fakty, spłot przygód, jako akcja i jako historia jest najoczywistszą, znaną, sprawdzoną i nie ulegającą wątpliwości prawdą.”

Nic dodać, nic ująć! A i inne argumenty, z poważniejszych źródeł wyprowadzane, też są niezbyt czytelne. Bo co na przykład chciał osiągnąć R. Kaźmierak pisząc o J. Piłsudskim, że „nienawisć do caratu i Rosji przestąpiła mu wszystko” i spowodowała, że w 1904 roku wyjechał do Tokio.

Przesłoniła wszystko — czyli co właściwie? To, że w wojnie rosyjsko-japońskiej opowiedział się przeciw Rosji. A przeciw komu miał się opowiedzieć? Przeciw Japonii? To przecież nie ona uczestniczyła w rozbiórach Polski.

Prawdą natomiast jest — jak pisze R. Kaźmierak — że po 1908 roku partia przestała być Piłsudskiemu potrzebna, tyle tylko, że dokładnie to samo stwierdziłem w swym rozdziale „Na drodze do Polski Niepodległej”.

Stosunek Piłsudskiego do państw centralnych i wartość czynu zbrojnego Legionów to kolejny przedmiot sporu. Powstaje bowiem od razu pytanie — utworzył Piłsudski Legiony czy nie utworzył? R. Kaźmierak minimalizuje rolę Piłsudskiego

Kilka dni po rozpoczęciu pracy w „Expressie” przeczytałem w wydawnictwie PAF najradosniejszą od Wyzwolenia wiadomość: Julian Tuwim wiecista do kraju!

O tym, że poeta uszedł cało z zawieruchy wojennej wiedziałem od wielu miesięcy. W czasie mego pobytu w Azji Środkowej nadeszły do Chanaka pierwsze numery „Wolnej Polski”, wydawanej w Moskwie przez Związek Patriotów Polskich. Na poczesnym miejscu czasopismo zamieszczało fragmenty „Kwiatów polskich”, napisanych przez Tuwima na dalekiej obczyźnie. W jednym, zaczynającym się apostrofa „Chmury nad nami rozpał w lunę”, zawarł poeta gorące życzenie:

„Lecz nań wszystko — słowem naszym, Zmienionym chytrze przez kretaczy, Jedynego przywróć i prawdziwość: Niech prawo zawsze prawo znaczy, A sprawiedliwość — sprawiedliwość.

Nie doczekał poeta spełnienia swych marzeń. Nie doczekali i ci, którzy go przeżyli. Nie zawsze prawo było u nas prawem, nie zawsze sprawiedliwość — sprawiedliwością...

Z portu nowojorskiego państwo Tuwimowi wypłynęło w połowie maja 1946 r. Po kilku dniach statek „Queen Mary” wysadził ich w Londynie. Tam spędził dwa tygodnie w towarzystwie Slonimskich i innych przyjaciół. W pierwszych dniach czerwca, prawie po siedmiu latach rozłąki z ojczyzną, zstąpił na ziemię polską. Do Gdyni przywiózł ich statek „Śląsk”. Na lotnisku warszawskim znaleźli się 11 czerwca rano.

Łódź odwiedził Tuwim w maju następnego, 1947 r. Była to jego pierwsza i jedyna po wojnie wizyta w rodzinnym mieście. Widziałem go w niedzielę, 4 maja na Piotrkowskiej. Stał we wnętrzu „Grand-Hotelu”, tego samego, który wspomina w wierszu opisującym defiladę w 1916 r. przed zwycięskim feldmarszałkiem, „szkarlatno-sinym” Mackensenem, gdy wojska niemieckie po raz pierwszy okupowały Łódź. (Przed Grand-Hotelem w mieście Łodzi / z trzaskiem parademarsz odchodzi...) Jakże poeta się zmienił! Ten pięćdziesięcioletni wówczas mężczyzna miał wygląd starca.

Tuwim wszedł do hotelowej kawiarni, umówił się tam z łódzkimi przyjaciółmi. Tego dnia odbywała się w mieście zbiórka datków z okazji „Święta oświaty”. Wychowanekowie 3 Państwowego Gimnazjum w Łodzi (dawnej szkoły Tuwima) Zbigniew Robot, Wiesław Teodorczyk i Andrzej Bogusz, przynieśli starszemu panu znaczek do klapy marynarki, nie wiedząc kto to jest. Wsunął im hojny dar do puszek. Po południu ci sami chłopcy kwastowali u cukierni „Syrena”. Poznali szczerzego ofiarodawcę, ten ich przywitał, nakarmił ciastkami i zapytał o zainteresowania. Od słowa do słowa, jeden z chłopców powiedział, że bardzo lubi poezję.

— A czy znasz wiersz „Sokrates tańczący”?
— Oczywiście! To napisał nasz wielki rodak, łodzianin, Julian Tuwim.

— Właśnie on siedzi przed wami...
Poecie sprowadził do Łodzi smutny obowiązek. Przyjechał na pogrzeb swej matki, Adelli z Krukowskich Tuwimowej, zamordowanej przez hitlerowców w sierpniu 1943 r. w masowej zagładzie Żydów w Otwocku pod Warszawą. W listach do przyjaciół pisanych z Ameryki poeta wyrażał głęboką troskę i niepokój o los swojej matki. Nie miał o niej żadnych wiadomości, trafiły go naiższe przeczuć. Oto słowa z listu do Jarosława Iwaszkiewicza (Nowy Jork, 14 września 1945 r.): „...wiem (choć mi nikt o tym nie powiedział), że straciłem Matkę. Proszę polecać na tym, aby mi nadal nikt o tym nie mówił. Jeżeli jest grób, zaopieczcie się tym kawałkiem polskiej ziemi do czasu mego powrotu. A łodzian proszę o opiekę nad grobem Ojca...”

Chciałem wziąć udział w tej smutnej uroczystości, wyraził w ten sposób współczucie poecie. Niestety, pilne obowiązki zatrzymały mnie w redakcji. Na symboliczny pogrzeb matki Juliana Tuwima — cóż zostało synowi po tej bolesnej stracie: garść „świętej” ziemi otwockiej — udał się redaktor Konstanty Bogusławski. Wrócił roztrzęsiony.

— Niech pan sobie wyobrazi, nikogo z przedstawicieli władz miejskich nie było na pogrzebie!

Napisałem o tym do „Expressu”, dając wyraz oburzeniu. Przecież to był moralny obowiązek władz miasta, które wydało wielkiego łodzianina! Poeta, który poświęcił swemu miastu najpiękniejsze strofy poezji!

Stratę matki przeżył Tuwim boleśnie. Powie potem we wstrząsającym wierszu:

Jest na łódzkim cmentarzu,
Na cmentarzu żydowskim,
Grób polski mojej matki,
Mojej matki żydowskiej.
Grób mojej Matki Polki,
Mojej Matki Żydówki,
Znad Wisły ją przywiozłem
Na brzeg fabrycznej Łódki.
...Zastrzelili ją faszysta,
Kiedy myślała o mnie,
Zastrzelili ją faszysta,
Kiedy tęskniła do mnie.
...Zabrałem ją z pola chwasty,
Oddałem ziemi-macierzy...
Lecz trup mego imienia
Do dziś tam jeszcze leży.

Dwa lata później Łódź przyznała Julianowi Tuwimowi nagrodę literacką za rok 1949 — za całokształt twórczości poetyckiej. Doniósł o tym nasz „Express” w numerze z 30 grudnia tegoż roku Głęboko wzruszony pierwszym po Wyzwoleniu, tak zaszczytnym wyróżnieniem, poeta napisał list do prezidenta m. Łodzi, pod datą 21.1950 r. Zdobytłem odpis tego listu i przechowuję starannie. Myślałem, że nie tylko należy, ale trzeba go przytoczyć. Tym bardziej, iż nie był dotąd publikowany.

„Z całego serca dziękuję Obywatelowi Prezydentowi za Jego list, zawiadamiający mnie o przyznaniu mi nagrody literackiej miasta Łodzi. Dziękuję Komitetowi tej nagrody, który w imieniu ukochanego mego miasta rodzinnego odznaczył mnie tym, wielkim, wzruszającym zaszczytem jakim są laury otrzymane przez pisarza od ludzi pracy — budowniczych Polskiej Socjalistycznej.

To, że się w Łodzi urodziłem, że w niej wzrosłem i blisko połowę swego wieku spędziłem — to nie jest ważne. Ważny jest natomiast inny fakt: że mnie Łódź UKSZTALTO-

WALA — nie tylko artystycznie i moralnie, ale, jak o tym dalej będzie mowa, również politycznie. Cienie mego miasta i jego blaski stały się nieodstępnymi towarzyszami mego życia — i gdziekolwiek byłem, czy w Warszawie, czy w obcych stolicach, czy z oceanem — wszędzie i zawsze przysłuchiwałem się biciu mego młodego łódzkiego serca i szeptom mego młodego łódzkiego sumienia. I sumienie, i serce wyruszyły z miasta Łodzi w świat — już gotowe, już uformowane. Iż to lat temu, w wierszu o łódzkim dzieciństwie, pisałem w Warszawie, że jestem „emigrantem”, że „tutaj, u was, obco mi, nieswojo” i że „tęsknię za ojczyzną moją”, za Łodzią. Cweterć wieku minęło od napisania tego wiersza, gdy w najczulszym na świecie mieście, w Rio de Janeiro, zamknąwszy oczy na wszystko, co mnie otaczało, a opętany tęsknotą za ojczyzną — znowu urosłem ją z Łodzią i w pisanym wówczas dłuższym utworze poetyckim całe miesiące „przebywałem” w Łodzi, w jednym z rzekomo najbrzydszych miast na świecie, i w jej okolicach.

Zmierzam do tego, że jeżeli mi tę nagrodę przyznano za całokształt mojej działalności literackiej, to w małym tylko stopniu zasłużyłem sobie na nią; jeżeli natomiast za patriotyzm łódzki, to w stopniu znacznie większym...

Mażna by mi w tym miejscu postawić zarzut, że jak na tak wielką miłość do rodzinnego mia-

ADAM OCHOCKI

Kwiaty i chwasty łódzkie

sta, mój żywy, bezpośredni kontakt ze społeczeństwem łódzkim jest prawie niżaki. Ale niech mnie usprawiedliwi pewna smutna okoliczność: długoletnia, nieuleczalna choroba, która nie pozwala mi swobodnie dysponować samym sobą, i to nie tylko w podróży z miastem do miasta, ale nawet w obrębie stałego miejsca zamieszkania, a cała ta sprawa zbyt dla mnie bolesna, abym się mógł zdobyć na wyjaśnienia i szczegóły.

Akcja utworu, o którym wyżej wspominałem, jego wątek treściowy, zaczyna się od trzasku brauningów rewolucyjnego proletariatu łódzkiego w roku 1905. Zaczyna się tak nie dlatego, że to kanonadę sam słyszałem na łódzkich ulicach. I nie o opowiadaniach czy poetyckich przenośni znam purpurowe kwiaty krwi robotniczej na ulicach Łodzi i czerwone sztandary powiewające nad tłumami, ale własnymi oczyma, jako młoty chłopiec je oglądałem i na całe życie zachowałem w pamięci. I jeżeli dziś (sprawdźcie na stare lata, ale za drugiej młodości) najgorętszym moim pragnieniem tuórczym jest współdziałanie z polską klasą robotniczą i z siłami postępowymi na całej ziemi w walce o wyzwolenie człowieka z jarzma kapitalizmu i imperializmu, to nie dlatego, że mnie tak ktoś nauczył — nawet nie dlatego, że pięć lat wojennych spędziłem w kraju najdłuższej rozpusty kapitalistycznej i imperialistycznej wyznania, to jest w Stanach Zjednoczonych — ale dlatego, że mnie uczyły gniewu i protestu łódzkie ulice, łódzka nędza, gruźlica cera łódzkich dzieci robotniczych i kontrast między rozpaczyliwym warunkami życia ówczesnej łódzkiej biedoty a lajdackim obrastaniem w sadła łódzkich fabrykantów. Żaluję tylko, że mnie to wszystko znacznie wcześniej nie nauczyło jeszcze jednego, najważniejszego: ostrzejszej, bezwzględniejszej walki, niż ta, którą dotychczas uprawiałem.

Będę się starał, aby od płomienia tej właśnie walki rozbiły lata mojej twórczości.

I dopiero wtedy ustąpi zażenowanie, z jakim dziś, z góry niejako, przyjmuję nagrodę literacką robotniczej socjalistycznej Łodzi, stolicy pracy polskiej!

Ist ten poprzedził ukazanie się „Kwiatów polskich”. Chyba pierwszy w Łodzi zdobyłem te książki, a miałem ją w ręku tyle razy, że z pamięci mogę zacytować obszernie fragmenty. Zafascynowany urzekającą lekturą opublikowałem w „Expressie” list otwarty do Juliana Tuwima pt. „Kwiaty i chwasty łódzkie”. Jako motto przytoczyłem zwrotki tuwimowskiego poematu, opisujące nędzę i tragiczny los rodzin proletariackich w do wojennej Łodzi. Dla kontrastu zamieściłem aktualne zdjęcia z życia odbudowującego się miasta w wolnej ojczyźnie.

Mimo akcentów socrealistycznych, tak uparcie od nas wymaganych i egzekwowanych, uważam ten artykuł za jeden z lepszych, w każdym razie najprawdziwszych, najszerzych w mym dorobku pisarskim. Niech mi więc wolno będzie przypomnieć go po trzydziestu kilku latach, choćby w skrócie.

„Strofy te pisałeś pod skwarzym niebem Brazylii, na dalekiej obczyźnie, pisałeś je samotny wśród drapaczy chmur New-Yorku, gdy przez świat przetracał się potężnymi gąsiennicami czołg wojny.

Gdy pod stalową młócką bomb faszystowskich walły się domy i pokój milujące miasta, gdy zszerała Cie wielka jak Ocean, którym byłeś oddzielony od Ojczyzny, tęsknota.

Pachniały oszalamiająco magnolie, pachniały zamorskie, egzotyczne kwiaty, szumiąły kilkupiętrowe palmy, ale Ty czuleś inny zapach, który szedł niepovstrzymaną falą — zapach bukieciów zboża z polskiej ziemi.

I dlatego swemu poematowi dałeś nazwę — „Kwiaty polskie”.

Kwiaty polskie... Zdeptane, wgniezione brutalnie w ziemię przez podkute stopy najeźdźcy. A przedtem przez rodzimych clemiętców spod znaku sanacji, dławiącej więzieniami i Berezą każdy odruch buntu przeciwko krzywdzie, każdą próbę walki o lepszy byt, o lepsze jutro.

I jeszcze wcześniej przez krwawych siepaczy carskich, gdy szarżą konnicy atakowali wzniezione na ulicach barykady, z których robotnicy łódzcy bronili swego najświętszego prawa do

życia, wolności. Jakżeś to pięknie powiedział w swym wierszu — „leпка purpura łódzkich kwiatów”.

Łódź... Twoje rodzinne, ukochane miasto. Ale nie tylko z tęsknoty poczęte są słowa Twojego poematu: „I dalej idę chmurny młodzik, dumając o fabrycznej Łodzi, o rozpalonej nędzy łódzkiej”. Ta właśnie rozpalona nędza najbardziej Cię bolała. Ten świat kontrastów. Pałace poznańskich, scheiblerów, grohmanów, w których fabrykantci uwili sobie rozkoszne gniazdko. I te ponure poddasza i sutereny, w których gnieździły się rodziny robotnicze. Piotrkowska z oświetleniem elektrycznym i gładką nawierzchnią. I krótkie zaułki słożonych uliczek bałuckich. Powozy panów fabrykantów. I tłumy bezrobotnych pod bramami fabryk. Roztańczone dancingi, na których zapijano drogim winem kapłony. Garkuchnie, gdzie wydawano ziębnącej gotolice po talerzyku wasserzupki.

Taka była ówczesna Łódź. I to były chwasty przedwojennej Łodzi.

Gdy pod naporem zwycięskich czołgów i bagnetów Armii Czerwonej rozsypała się w proch brunatna machina hitlerowski Niemiec, gdy historyczny Manifest dał w wiecześnie władanie chłopom ziemię, a robotnikom fabryki, z zapalem, z bezgraniczną ufnością w słuszność swej sprawy, przystąpili do pocienia chwastów, zasadzonych na łódzkiej ziemi przez poznańskich, scheiblerów, grohmanów.

Ciężko nam było. Niejednego musieliśmy sobie odmawiać, niejednego się wyrzec. Ale przyszła nam wiara w lepszą przyszłość. Z zakasanyimi po łokcie rękami odbudowywał robotnik zniszczone fabryki, zaorywał rolnik otrzymaną ziemię.

Na zniszczonych Bałutach zaczęło się rodzić nowe życie. Strzelili w górę czerwieńcem cienie pierwsze bloki mieszkalne dla nowych budowniczych nowej Łodzi. Dużo już ich jest. Będzie jeszcze więcej. Rzędami jasnych bloków pokryje się wielki teren od Placu Kościelnego aż, hen po krańce Łodzi.

Wyrastają nowe domy, szpitale, szkoły. I nie ma już „apoplektycznie purpurowych tragarzy”. Popatrz na te fotografie poniżej. Cegły do budowanych bloków podają transportery. Po wielkim placu budowy posuwa się majestatycznie koparka. To dar od bratniego Związku Radzieckiego. Gdzie spojrzysz — wszędzie pracują maszyny. Dźwigi, transportery, koparki, spychacze. Ulatwiają pracę ludziom, czynią ją lżejszą, wydajniejszą.

„I to są kwiaty powojennej, obecnej Łodzi. „Bałuckie limfatyczne dzieci z wystraszonymi twarzyczkami.” Wiernie oddales ich wygląd. Takie były dzieci robotnicze w przedwojennej Łodzi. O starczych twarzach, z zapadłą pierśią, wątlę, przezroczyście, trawione chorobami i

najstraszniejszą z nich, proletariacką chorobą Łodzi — gruźlicą.

Smutnie upływało im dzieciństwo. Żyli o suchym chlebie i postnych ziemniakach, bo więcej im dać rodzice nie mogli. Bawili się nad rynsztokiem, biednie, obdarci, zapomniane.

Jakże inaczej wyglądają dzieci dzisiejszej Łodzi!

Popatrz na tego chłopca z roześmianą, pucołowatą buzią. To 5-letni Jędrus Piotrowski, syn pracownika Zjednoczenia Instalacji Przemysłowych z ul. Franciszkańskiej. Jędrus jest w przedszkolu TPD przy ul. Bojowników Getta. Tutaj, pod czujną opieką spędza czas, gdy jego rodzice pracują.

Takich zdrowych dzieci mamy w Łodzi wiele. Opiekuje się nimi państwo ludowe, budując dla nich przedszkola, żłobki. Wysylając je latem na kolonie. Zapewniając im bezpłatną pomoc lekarską i naukę. I dobre jedzenie.

Dzisiaj dzieci łódzkie nie siedzą już w kucyki nad rynsztokiem. Bawią się w ogródkach jordanowskich. Oto Staś, Małgosia, Danusia i Krysia. Ich szczęśliwe, uśmiechnięte twarzyczki najlepiej mówią o radosnym dzieciństwie. O dzieciństwie, jakie może zapewnić dzieciom robotnika i chłopca tylko władza ludowa, w ustroju wolnym od poznańskich, scheiblerów, grohmanów.

Nie ma już cuchnącej Łódki. Widzisz te aleje na tle pięknych bloków? Tędy właśnie toczyła swe wody Łódka. Zasypano cuchnącą kanał, dzisiaj wzdłuż jego dawnego koryta rozciąga się Park Staromiejski. Stoją tu drzewa, latarnie i ławki, na których odpoczywają po trudzie dnia codziennego robotnicy.

I na Widzewie powstał nowy park. A te wszystkie ogródki fabrykanckie, których zieleni zazdrośnie strzegły przed ludnością wysokie parkany, wyszły na ulice. Runęły płoty, dobro fabrykanckie stało się dobrem ogółu. Na rabatach zakwitły kwiaty. Kwiaty łódzkie...

„Drgawica u epilepsji wrzecion, gdy pasów, nici, kół zamiecia maszyna trzaskająca chłasta...” Ustokrotnionym rytmem pracują maszyny fabryk łódzkich. Ale wprawne ucho usłyszy już inny głos: wielką, potężną pieśń zwycięstwa, pieśń o sukcesach, o dobrym dniu dzisiejszym, o lepszym dniu jutrzejszym.

Widzisz te dwie kobiety przy maszynie przedzielniczej? Ta starsza to instruktorka Bronisława Jach, przodownica pracy ZPB im. Róży Luksemburg. Udziała rad i wskazówek swej młodszej towarzysze pracy, przadce Irenie Moczyłdowskiej. Uczy ją jak pracować lepiej, wydajniej. Jak więcej wydobywać z maszyny. Ale już nie dla fabrykantów, lecz dla siebie, swoich dzieci, dla swego państwa ludowego.

„Więc przyjdź, Poeto, do naszej, swojej Łodzi. I napisz nowy poemat. O nowym, pięknym mieście. O wolnym, szczęśliwym człowieku. O zdrowych, radosnych dzieciach. O domach jasnych na Bałutach. O parkach i zieleniach. O budującym się wodociągu, którym popłynie niebawem czysta, zdrowa woda. O wyższych uczelniach, na których zdobywają wiedzę synowie robotników i chłopów. O świetle elektrycznym na przedmieściach Łodzi. O wybrukowanych ulicach. O kanalizacji.

O tych wszystkich wielkich zdobyciach, jakie dał pracującemu ludowi Manifest Lipcowy, jakie utrwaliła Konstytucja i jakie rozszerza program Frontu Narodowego.

O stumilionowej wieży komińów, która wzrasta w chmurę.

Ale już nie o wieży Scheibler, bo ta runęła, żeby nie powstać nigdy. A ta nowa, gigantyczna, wzrasta w chmurę, pnie się coraz wyższą, lecz już nie puchą. Dumaj!”

Wiem czyj to był pomysł — redaktora naczelnego Kroniewicza, czy jego zastępcy. Wyrządzone mi krzywdę. Przy tym nazwisko dodano „opracował”. Jakie opracowanie! To był najautentyczniejszy, w całości przeze mnie napisany artykuł. Nie atramentem, ani długopisem, którego nie było jeszcze w użyciu, ale krwią serdeczną.

Nie wypadła, żeby pan jako autor figurował w towarzystwie Tuwima. To zbyt żenujące zestawienie — oświadczył mi nazajutrz naczelnik, gdy zgłosiłem swe pretensje.

Wtedy panowały takie zwyczaje, nie tylko w naszym „Expressie”. Niechętnie eksponowano nazwiska dziennikarzy. Jeszcze dostaną zawrotu głowy od sukcesów, trzeba być skromnym. Stąd tak liczne kryptonimy, inicjały, czy po prostu „x” pod publikacjami. W grę wchodziły i momenty ambicjonalne naczelnych, którzy sami przeważnie nie pisali. Ewentualne splendory niech spłyną na gazetę jako taka.

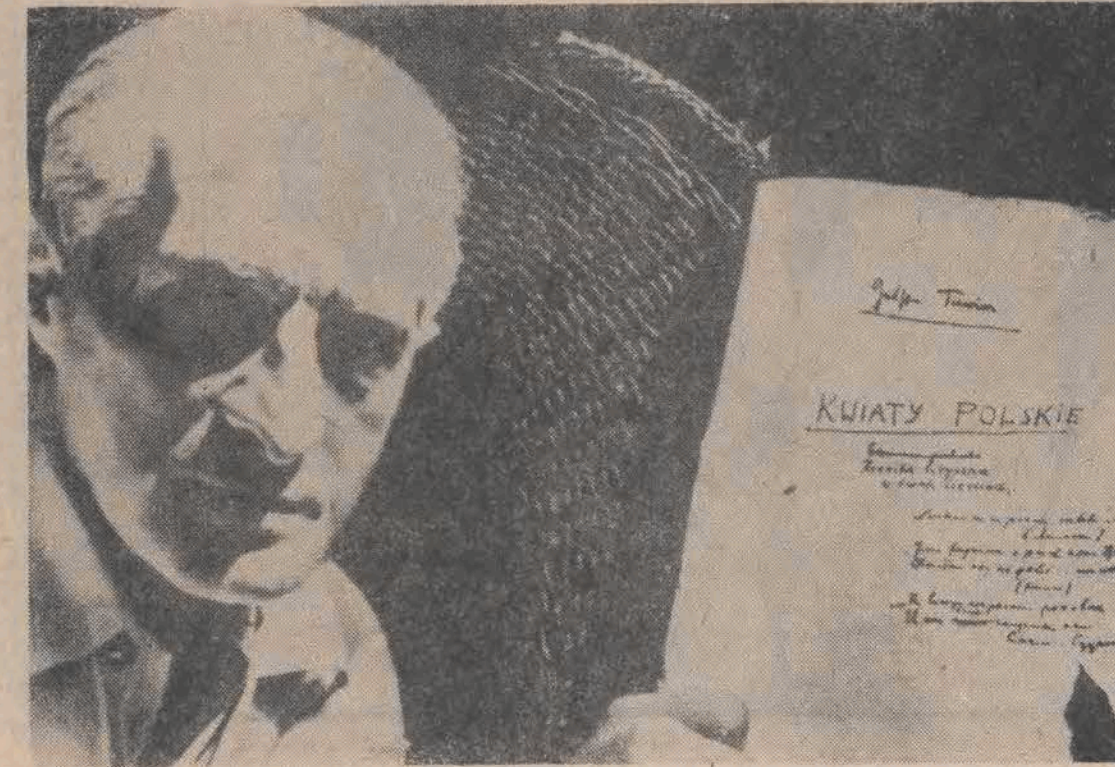
Bywało i tak, zwłaszcza w latach późniejszych, że dziennikarze nie chcieli podpisywać się pod artykułami, które po zaleconych zmianach, a także „obróbkach”, dokonywanych przez naczelność bez ich wiedzy i zgody, nie wyrażały myśli autora. Ale ja chciałem!

Pełną satysfakcję po wydrukowaniu „Kwiatów i chwastów łódzkich” przyniosły mi zupełnie nieoczekiwane następne dni. „Express” z moim artykułem dotarł do rąk Tuwima. Jak się domyślałem, gazetę przekazała mu do Warszawy zmarła przed kilku laty Halina Krukowska-Ellasberg, kuzynka poety Mieszkała stałe w Łodzi, była zastępcą inspektora programu w Radio, potem w Telewizji. Tuwim wzruszył się i przysłał mi piękny, odręczny list z podziękowaniami. List ten w całości zamieściłem w pierwszym tomiku „Reportera”. Radosną wiadomością podzieliłem się z kolegami — list dostałem w trakcie narady redakcyjnej. Pogratulowali mi. Naczelnik i jego zastępca nawet teraz nie zdobyli się na przepaszający gest czy słowa uznania.

Takie oto były kwiaty i chwasty łódzkie w one młode lata... W opracowaniu Adama Ochockiego.

Fragment wspomnień z przygotowanego do druku drugiego tomu książki p.t. „Reporter przed konfesyjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę”.

*) Julian Tuwim, Listy do przyjaciół — pisarzy, opracował Tadeusz Januszewski, „Czytelnik”, Warszawa 1979.



Jak być tutejszą?

Jeśli spojrzeć na powojenną maszą prozą jako na zbiór tematów — to okaże się, iż jednym z najważniejszych był temat Ziemi Zachodnich (ekspozycjonowany również instytucjonalnie do roku 1970 poprzez doroczne Zjazdy Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych). Imprezy zlikwidowano, gdy centralne władze doszły do wniosku, że nastąpiła całkowita integracja tych ziem z macierzą i należy o nich mówić w sposób wyłącznie zwyczajny, a nie odświętny.

W dziejach tego tematu osobne miejsce zajmuje sprawa mazurska, powikłana, w dużym stopniu przemilczana, słowem: bolesna. Działo się bowiem często tak, że ci, którzy przed wojną przyznawali się do polskości, po wojnie zdecydowali się na opuszczenie kraju przodków. I to nie bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych, ale w drugiej połowie lat 50 i potem, już w latach siedemdziesiątych, w ramach tzw. akcji łączenia rodzin. Trudno w tym miejscu wdawać się w szczegóły i analizować przyczyny, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy. Bo przecież nie tylko i nie zawsze w pierwszych rzędach decydowały sprawy ekonomiczne, wywołujące dziś falę emigracji zarobkowej. O wielu przyczynach pisał swego czasu Karol Małek oraz Emilia Sukertowa-Biedrawina w pracach typu wspomnieniowego i publicystycznego.

Literatura piękna ograniczała się przeważnie (zgodnie zresztą z przeznaczeniem) do pokazywania świadomości narodowej, względnie dróg ku niej wiodących. Jako przykład typowy wspomnijmy „Wyspiarzy” Leszka Proroka, powieść o symbolicznym dochodzeniu do polskości. Ale przecież i w drugą stronę prowadziły drogi — sam spotkałem w Niemieckiej Republice Demokratycznej wnuczkę Jana Baczewskiego, wybitnego działacza polskiego w Niemczech, członka Rady Naczelnej Związku Polaków w Niemczech, organizatora akcji plebiscytowej na Warmii. I literatura niemiecka też się tym problemem interesuje, niedawno ukazała się w Republice Federalnej Niemiec głośna powieść Siegfrieda Lenza „Helmatmuseum”, zajmująca się narodową świadomością Mazurów.

U nas sprawy te zajmują przeważnie pisarzy zrzeszonych w Olsztynskim oddziale Związku Literatów Polskich. Do wcześniejszych ich dokonań dołączył Bohdan Dzitko, powieścią „Tutejsza”, nagrodzoną w konkursie Wydawnictwa „Pojezierze” w 1979 roku. Pomyślana ona została jako monolog Mazurki, 17-letniej w 1945 roku dziewczyny, która wyszła za mąż za przybysza z centralnej Polski. Gertruda opowiada o sobie, o swej rodzinie oraz o gronie znajomych z Kurtem Kinskym (vel Konradem Kineckim) na czele. Jej opowieść, porwana, chaotyczna — jak każde przecież wspomnienie — daje obraz trzydziestu kilku lat powojennego życia na Mazurach, i nie tylko. Dzitko jest jednak odległy od socjologicznych ambicji, nawet świadomość narodowa mieszkańców Mazur nie interesuje go w takiej mierze, jak można by w pierwszej chwili sądzić. W każdym razie stara się być najdalej od wszelkich stereotypów z pojęciem tym związanych i rozpowszechnionych w naszej publicystyce i literaturze. Wie, że całkowicie uwolnić się od nich nie zdola, preto posługuje się zbowiennym zabiegiem: stereotypy, które pojawiają się w systemie myślenia niektórych postaci, kompromitowane są przez ich przeciwników. W rezultacie decydują ma tzw. prawda życia, przed którą staje wiekszość bohaterów „Tutejszej”. „Chodziło o najważniejsze w życiu decyzje, o zmianę miejsca zamieszkania, o zmianę obywatelstwa, chodziło o wyjazd do Federalnej Republiki, która bez żadnych zachęt stała się Ziemią Obiecanych tych urodzonych na Mazurach i Warmii”. Wbrew pozorom dla wielu „tutejszych”, czyli jak ich ongiś zwano „autochtonów”, nie była to decy-

zja łatwa: wyższemu poziomowi materialnemu w Republice Federalnej przeciwstawiali bowiem tęsknotę do miejsca urodzenia, samochodowi — urodę krajobrazu. Nade wszystko zaś musieli odnaleźć poczucie tożsamości, tej prawdziwej, a nie zmienianej jak rękawiczki.

Właściwym bohaterem tej powieści, jej „silnym człowiekiem”, jest Kurt Kinsky, który zmienia jak rękawiczki nie tyle poglądy (choć te też), co żony. Pragnie potomka, kolejne żony nie dają mu go. Ostatnia da mu syna, ale nie będzie on podobny do ojca... Pragnie sukcesu zawodowego, materialnego. Zostaje dyrektorem zjednoczenia, należy do elity, do prominentów. Pragnie jeszcze więcej — wyjeżdża do RFN i tam „urządza się”. Ta krótka relacja mogłaby nasunąć przypuszczenie, iż mamy do czynienia z sylwetką jednowymiarową, z człowiekiem opanowanym żądzą życia i użycia. Tak jednak nie jest. Kurt Kinsky to po prostu postać wielobarwna skomplikowana, niespokojna. A że u podstaw jego wyjazdu legły sprawy materialne? Nie u niego pierwszego i ostatniego — zdaje się powiadać autor. Co wcale nie znaczy, że wszystkich wyjeżdżających do Republiki Federalnej podejrzewa wyłącznie o chęć zysku. Dotknąć więc musi „kompleksu związanego ze sprawami polsko-niemieckimi”, wyeksponowanego zwłaszcza w dyskusji pomiędzy Mazurami, którzy pozostali w Polsce i ich dawnymi szkolnymi kolegami, przyjeżdżającymi do Polski na wakacje. Z rozmowy tej wynika, że trzeba ciągle wyjaśniać, wspólnie rozumieć i przewyżniać przeszłość.

Problemem polsko-niemieckim, które silną rzeczą wysuwają się na plan pierwszy „Tutejszej”, towarzyszą realia całego okresu powojennego, polityczne skręty i zakrety, wyeksponowanie zwłaszcza okresu stalinowskiego, ostatecznie to właśnie wtedy popełniono największe błędów w polityce wobec „tutejszych”. Ważne są też realia obyczajowe, rejestrowane trafnie, choć z umiarem, pokazujące jak to w różny sposób „władze starały się dać miejscowym ludziom choć odrobinę rekompensaty za to, co spotkało ich w czasie wojny, a także za to, co niekiedy działo się po wojnie”...

Jednym z uproszczeń w sprawach Mazurów był stosowany przez wiele lat schemat: albo Polak, albo Niemiec. Tymczasem dla „tutejszych” była to decyzja znacznie trudniejsza, nieraz nie potrafili wybrać w tej alternatywie. Z perspektywy historycznej pisuje o tym Erwin Kruk (dramatycznie wypowiedział się z trybuny ostatniego Zjazdu Literatów Polskich). O współczesnych komplikacjach stad wynikających opowiada powieść Bohdana Dzitki.

B. Dzitko, „Tutejsza”, „Pojezierze”, Olsztyn 1981, s. 222, nakład 5.750 plus 250 egz., cena zł 45.—

TADEUSZ BŁĄZEJEWSKI

ROMAN GORZELSKI

Topór

Topór umierał wbity w pień drewniany trzon był worem próchna a rdza z harmonijną godnością pasła się na resztkach żelaza

Topór umierał wbity w pień a wiatr już wiele lat tu hulał i deszcz przychodził zamiast kataru — umarli nie wracają — myślał cały purpurowy

Topór umierał wbity w pień — żyjemy w czasach chwytów i przemilczeń kiedyś wreszcie nadejdzie czas rehabilitacji ruchu

Topór umierał wbity w pień i znał na pamięć każdy dźwięk spadania jak skrzypce co ton pamiętają kiedy czekają brzmień gotowe

Topór umierał wbity w pień cały bezdomny był jak rzeka bezradny był jak odlot ptaków a życie mu Śmierć uratowała

Nad ranem

Przekwitła nad ranem twoje serce na ścianie domu naprzeciwko postać sportowca reklamująca toto-łotkę biegnie w nieznane w nieskończoność obok pannie pracujące na ulicy zbierają kiwnięciem spóźnionych przechodniów — a w oczach chorego dwie piękne łzy zazdrości — a w śnie chorego dzieją się takie rzeczy jak anioł zła i diabeł dobroci — uparty baran na twoim niebie pojawił się kolejny raz nie jest to mało: wszyscy twoi przyjaciele pożegnali cię samotna stygna kolacja — wino ryby i chleb (a może to martwa natura na północnej ścianie) pozostał niezgaszony papieros — palisz go po nocach we śnie od piętnastu lat — szukasz siebie wśród dzieci wśród par spacerujących wśród kochanków na łące i chociaż wszystko przebrane i chociaż wszystko stracone czemu masz jeszcze nadzieję

Dziś

Dziś w nocy odpadła mi głowa: potoczyła się po stole i zniknęła za drzwiami w którymś pokoju sam nie wiem zresztą niech ona opowie co się działo kiedy ja siedziałem przy stole podczas uczy wesele: wszyscy do mnie mieli pretensję że nie piję (jakkę mogłem pić nie mając gardła) mieli do mnie żal że nie zachwycał się panną młodą (jakkę mogę to czynić nie mając oczu) brano mi za złe że nie krzyczę: gorzko mi (w jaki sposób mogę krzyczyć bez ust) czemu nie wygłaszasz mądrych sentencji — pytane (ale jak to zrobić nie mając mózgu) panie miały do mnie pretensję, że nie tańczę w rytm skocznej muzyki (jak mogę tańczyć bez uszu) wprowadź mnie w śpiewniadnicy pomimo braku głow zachowywali się pozornie normalnie ale dla mnie na to jeszcze za wcześnie

Wiersze z tomu „Gorzki Człowiek”, który ukaże się niebawem w Wydawnictwie Łódzkim.



Rys. Zenona Pionk

Oceny i opinie o tegorocznych festiwalach krakowskich zaczęto kształtować zanim jeszcze rozbiły ekran kina „Kijów” podczas pierwszej projekcji. Wszystkie one dają się sprowadzić do zdania, odmienniego na wszelkie sposoby, że „brak filmów o rzeczywistości”, a najistotniejszym osiągnięciem festiwalu jest to, iż w ogóle się odbyły. I co zadziwiająco, „Gazeta Festiwalowa”, oficjalny dziennik wydawany przez organizatorów, opinie te oracwiście utwierdzała, głównie piórem etatowego felietonisty, niejakiego Nikodema Plaskiego (trudno o bardziej odpowiadający owym zapiskom pseudonim!). Zastanawiam się teraz, czym ten masochizm był motywowany. Bożalście tłumaczyła się Komisja Kwalifikacyjna, a Jury jakoś nie eksponowało swojego sędziowskiego oblicza. Im prędzej przynasz się do winy — myśleli panowie — tym lanie będzie lżejsze?

Rację dwudziestodwuletniej tradycji krakowskiego przeglądu latwo przecież zrozumieć. Taki, a nie inny stan filmu krótkometrażowego, zresztą nie tylko w Polsce, ale na całym świecie, powoduje, że festiwal nie należy traktować jako swoistą reakcję obronną przed monopolem teatralnym, przed kurczeniem się możliwości małej kinematografii, która coraz to widoczniej traci swoją niezależność i siłę przebiecia do odbiorcy. Festiwalu zatem (a krakowski to jeden z wielu) nie są odświętnymi, a okazjonalnymi uroczystościami ze sztucznymi ogniami i fajerkami, są natomiast bodaj ostatnią enklawą żywołności filmu krótkometrażowego, możliwością konfrontacji, porównań i poznawczych ocen. Warto w tym miejscu przypomnieć, że oprócz stu sześćdziesięciu filmów w obu konkursach, krajowym i międzynarodowym, można było w Krakowie obejrzeć retrospektywę twórczości JERZEGO BOSSAKA, nagrodzone tytuły z Oberhausen, przegląd filmów węgierskich z ostatnich lat, filmów radzieckich honorowanych w przeszłości w Krakowie, specjalne projekcje filmów japońskich i francuskich, tzw. „salon odrzuconych” oraz „minuty nadziei” czyli pokaz etud, wcale interesujących, przyszłych filmowców z Łódzkiej PWSFTiit. Czy to mało?

„Brak filmów o rzeczywistości”? Ten licznik, którym licytowano się w kulturalnych ocenach również nie wytrzymuje krytyki. Srdobujmy bowiem zastanowić się czym jest film krótki, jakie perspekty-

FESTIWALE (2) FILMÓW KRÓTKOMETRAŻOWYCH — KRAKÓW 1982

Tematy i problemy

wy i jakie funkcje możemy mu przypisać. Powinien — mówi się — być dokumentalnym zapisem aktualnych realiów, w które uwikłany jest człowiek i jego świadomość. Powinien — mówi się dalej — być humanitarną interwencją w świecie wartości egzystencjalnych człowieka, wartości moralnych, społecznych i politycznych; nieobojętna przecież i dla tej formy filmowego przekazu jest funkcja dydaktyczno-perswazyjna. Zawsze był krótki metraż dla kina w ogóle warsztatem w którym podejmowano eksperyment, poszukiwano nowych form estetycznych, krystalizowano awangardowe cele dla sztuki filmowej. Te role spełnia i dzisiaj. Jest wreszcie film krótkometrażowy forma zwykłej dystrybucji i zabawy, wykorzystując wszelkie dostępne sobie środki techniczno-wyrazowe.

Jeśli spróbować spojrzeć na krakowskie imprezy z tej właśnie perspektywy — a nie mam zamiaru fetyszyzować atmosfery konkursu, zatem rozmaitych gier i przetargów, wysięgu partykularyzmów i ambicji — przedstawiają one obraz interesujący i godny uwagi.

Tematem, który dominował w przedstawionych w Krakowie filmach, była opowieść o artyście, pasjonacie, hobbyście bądź oryginalnie. Przetawiano ją filmowo na różne sposoby. Raz był to panegiryczny w tonie film K. GRADOWSKIEGO o J. Bossaku „Przesłanie” (ciekawiej jako realizator spisał się student II roku z Łódzkiej szkoły, W. GRODECKI, który przedstawił film o wizercie R. Polańskiego na Targowej pl. „Portret artysty z czasów młodości”), raz rzetelny dokument o Jerzym Heintze — antropologu i rysowniku motywów (real. ROBERT STANDO) raz interpretacyjny esej o twórczości Jonasza Sterna. Bohaterem tego rodzaju filmów byli Bronisław Chromy („Droga na Olimp” Z. HALOTY), ludowy rzeźbiarz spod Kielc („Ogród figur drewnianych” S. TRZASKI), Stowarzyszenie Teatralne „Gardzieniec” (real. A. GÓRNA) oraz W. Michałek — emerytowany inżynier, teraz pasjonat fotografii. Na motywach twórczości Witkacego zbudował swój film J. SCHMIDT, prezentując egzaltowaną i ekspresjonistyczną wizję, która w Krakowie cieszyła się niejakią popularnością. Tego rodzaju filmy (a i w konkursie międzynarodowym było ich kilka — o kowalu, artyście z islandzkiej wioski, o egipskim reżymierzu, o współpracy artysty i robotnika z czeskiej huty szkła etc.) podpierają swoje wartości estetycznymi efektami, które przynosi temat innej sztuki; dają realizatorowi okazję (nie zawsze w pełni wykorzystaną) do nowych pomysłów i obrazowych niespodzianek. Czasem gubi się w ten sposób walor poznawczy dokumentu.

Drugi bogaty w filmy temat to ochrona naturalnego środowiska człowieka i zagrożenia jakie niesie z sobą rozwój cywilizacji. Problem wydaje się być równie ważny dla Polaków („Puszcza Świętokrzyska” W. SZPAKA, „Miasto zawiędzonych nadziei” J. KADENA, „Uchronić Żutawę” M. USSOROWSKIEGO), Szwedów („Keep it clean-keep it safe” J. DOWNESA), Japończyków i mieszkańców Bahrajnu. Jury uhonorowało dwa filmy z tego zakresu jugosłowiańską „Aque” i angielską „Błękitna śmierć”, które dla tego konwencjonalnego, acz groźnego tematu potrafiły znaleźć niebanalną formułę.

Trzecia grupa filmów to optymistyczne w swojej wymowie obrazy człowieka przewyżniającego kalectwo, chorobę i inne przypadłości losu: hinduski film o rehabilitacji trądowatych („Baba Amte”), kanadyjski o nowych metodach fizjoterapii, także hinduski o pracy niewidomych, czeski dokument o młodym pływaku, który mimo kalectwa na skutek wypadku, wraca do pracy i do ulubionego sportu („Dzieńce sekund”). Tu na wyróżnienie zasługują film F. KUDUKA „Po tamtej stronie światła” o formach sztuki wzbogacających wyobraźnię niewidomego dziecka. Myślę, że i w tym nurcie wiary w nieprzemijającą wartość człowieczego uporu i żywołności przewyżniającej wszystkie przeszkody, mieści się „Pourót” K. PRZYŚCIECKIEGO, a i także gruzińska „Matka ziemi” nagrodzona Grand Prix w Oberhausen, która była i artystycznym wydarzeniem w Krakowie. Kolejną grupę filmów można byłoby zatytułować „homage dla przeszłości i tradycji, dla historii i ludzi, którzy ją tworzyli”. Oprócz trzech polskich tytułów — „Kiedy Polska mi na myśl staje” (W. SKRZYŃECKI), „Ślady” (A. BRZOZOWSKI), „Pole bitewne” (A. PĄPUZINSKI) — tego rodzaju filmy reprezentowały kinematografię NRD i Szwecji, Nikaragui i Bułgarii. Nie brakło także filmów o charakterze publicystyki politycznej zaangażowanych w ideologie antywojenne, antydyktatorskie, filmów odnoszących się bezpośrednio do aktualnych wydarzeń („Kampucza” A. TRZOSA-RASTAWIECKIEGO, „Kolme Minuuttia valile kaksitoista” — fiński film zainspirowany madrycką konferencją KBWE, oraz „La zona interdita” — produkcja salwadorskiej) bądź podejmujących ten temat w poetyce paraboliczno-metateforycznej (film animowany).

Już z tego pospiesznego wycieńczenia wynika, że twórcy współczesnego filmu krótkometrażowego nadają priorytet tematowi i ideom dla współczesności najważniejszym: niewiele było tytułów, które stawiałyby na „czystą formę”, bulwersujący eksperyment i abstrakcję. Nawet kino animowane, jakby przeznaczone z natury swojego tworzenia, dla żartu, zabawy i epatującej rozrywki chciało uczestniczyć niebezproblemowo w tym zestawie tematów ważnych, kluczowych i dla człowieka podstawowych.

Wiecej „brak filmów o rzeczywistości”? Polskie tytuły, które w tym międzynarodowym kontekście cytowałem często — jesto, na tle filmowej reprezentacji z dwudziestu pięciu krajów nie wypadły najgorzej. Dwa filmy KRYSZTIANA PRZYŚCIECKIEGO („Lekcja publicystyki” — reportaż o współczesnej Polsce zatytułowany przykładem Brodnicy, i „Pourót” — o odradzającym się życiu na terenach objętych powodzią w Plockiem), film PAWEŁA KEDZIEŃSKIEGO „Dzień dziecka” (nasza aktualna codzienność widziana oczami dzieci), „Cysorz i Jolan-ta Król” KRYSZTOFA GRADOWSKIEGO, „Tut nam obiecał ziemię sprawiedliwą” (o nietolerancji wobec mazurskich autochtonów) HALINY MIROSZOWEJ i HANNY KRAMARCZUK, „Nie wyonadlenny najlepší” (o pogromie konińskich Cyganów), „On” PIOTRA ANDRZEJA — parabola o wolności, „Pomiar” JOZEFA GEBSKIEGO „W Barlinku” BOGUSŁAWA RYBCZYŃSKIEGO, kilka filmów animowanych („Solo na ugorze”, „Koryto”, „Dwie przynędy Lemuelo Gullivera” i inne), znakomity debiut JOZEFA PIWKOWSKIEGO („Pierwszy film”) — to przecież wiele jak na jeden festiwal. I nie ma powodów aby porównywać go z tym, który odbył się w roku ubiegłym. dwa lata temu lub jeszcze wcześniej. Tak jak tamte i ten ostatni był odbiciem swego czasu. I tak go traktujemy.

GRZEGORZ GAZDA

Wreszcie normalna recenzja

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Pretekstem do tych recenzjonczyków omówień... Przepraszam — przedmiotem — powinna być wystawa zatyłowana Młoda Sztuka Jugosłowiańska, którą można oglądać w Galerii w parku im. H. Sienkiewicza.

Powinno się wytłumaczyć z tego dosyć dziwnego początku. Najpierw bowiem piszę o pretekście, jakby chodziło o recenzję jako taką; z drugiej strony — mówię o tej recenzji przedmiotem akcentując go jako cel rozważań. Ale tak to bywa gdy przychodzi do omówień zbiorowych prezentacji mających ambicję przekrojowego pokazania tendencji panujących w twórczości tak zwanego młodego pokolenia artystów plastyków. Wnioskuję z takich wystaw bywają podobne, niezależne (prawie) od tego z jakiego kraju grupa autorów prac się wywodzi. Niektórzy mogą mi zarzucić, że tym stwierdzeniem umniejszam znaczenie narodowych tradycji i temu podobnych oddziaływań na twórczość plastyczną. Doceniam i zauważam te wpływy. Sądzę jednak, że dostrzegając treść i pewnie wspólnie dla szerszych kręgów o wspólnym podłożu kulturowym, a nawet i wychodzące poza nie, zjawiska. Dlatego właśnie wystawa plastyki jugosłowiańskiej może tu być pretekstem. A że jednocześnie powinna być przedmiotem? Trudno tego pokazać nie zauważyć. Dla środowiska zawodowo związane z plastyką jest to niewątpliwie informacja o tym jak kształtują się — czy ściślej — jak zapewne będą kształtować się — w najbliższych latach tendencje w plastyce jugosłowiańskiej, wcale nieobojętnej dla sztuki europejskiej. Zaś dla tych, którzy po prostu lubią czasem popoglądać obrazy czy rzeźby, też trochę przyjemności się znajdzie.

Wystawa została przygotowana przez Galerię Sztuki Nowoczesnej w Rijecie, jeden z prężniejszych ośrodków patronujących plastykom i inspirowanych ruch artystyczny w Jugosławii. Kierujący Galerią dr BORIS VIZINTIN pisze we wstępie do katalogu: „*Artysty reprezentowani na tej wystawie należą do generacji, która nie przekroczyła jeszcze 35 roku życia. Są pomiędzy nimi tacy, którzy już zdążyli zdobyć sobie akceptację środowiska, ale są też tacy, którzy po raz pierwszy biorą udział w tego typu reprezentatywnej wystawie. (...) Możemy śmiało stwierdzić, że znajdując się przed nami w najszerszym ujęciu ów ferment, dzięki któremu rozwija się nasza plastyka, wydaje mi się ponadto, iż dzisiaj czynią ten doświadczenia w inny sposób: bardziej młodzieńczo, śmiejąc i z większym zaufaniem we własne siły; że wszystkie tutaj jest stymulowane entuzjazmem i impulsem do znajdowania nowych rozwiązań; że zarysowany cel lub zaledwie naznaczony punkt wyjścia służy do tego, aby w prawdziwie interesującej formie przyciągnąć oko widza.*”

Można jest bardzo trafnym określeniem dla tej wystawy. Nie ma bowiem na niej obiektów zdecydowanie dominujących nad pozostałymi. Obrazy i rzeźby zdają się być równorzędne wobec siebie. Dopiero po dłuższym oglądaniu zaczynamy skłaniać się ku jednemu pracom bardziej niż ku innym. Przy czym preferencje owe wynikają nie tyle z oceny, co z owego szczególnego kontaktu jaki powstaje pomiędzy dziełem plastycznym a jego odbiorcą. Niektóre prace chciałyby się wówczas widzieć w odmiennym niż galerijna scenarii, bo dopiero wtedy dopełniłaby się ich treść. Tak właśnie odebrałam obraz zatyłowany „*Upadek Teoha*”, który namalował PAVEL FLORJANČIČ. Ta martwa natura, o niemal fotograficznej dokładności walorowej aż prosi się o mieszkalne lub biblioteczne wnętrze obrobione oddziaływaniami wieczna tradycja. „*Przeźreń II*” JOZE VERSCAJA, niewielki szeszeń z plexiglasu chciałybym mieć zawsze gdzieś blisko, w zasięgu wzroku i ręki, żeby móc go oglądać ze wszystkich stron, nie zaś tak jak na wystawie, gdzie o jeden obraz tej samej przestrzeni jesteśmy ubożsi. Sa tam też takie prace, którym to trzeba by uzupełnić oczyścić (ZARKO VREZEC „*Linia brzegowa VII*”), żeby „zagrały” fakturę nianuse, zaświeciła plama koloru. We wnętrzu galerii na ogół trudno stworzyć takie warunki, zaś odrzucenie wpływów tego co znajduje się obok bywa często prawie niemożliwe. I chociaż w tym przypadku zadano o w miarę neutralne sąsiedztwo, to przecież żal, że galerię mamy w Łodzi tak ciasną. Jeszcze z jednego powodu określenie „mozaika” jest dla tej wystawy właściwe. Ze względu na różnorodność, czy raczej wszechstronność wpływów, które inspirowały twórczość jugosłowiańskich artystów. W zgromadzonych pracach nie trudno się bowiem doszukać nawłazywania czy też odwoływania się do niemal wszystkich znaczących kierunków współczesnej plastyki, ale też jest to równocześnie ich przetworzenie w tradycyjnej formie obrazu czy rzeźby.

Jest to zresztą — jak mi się wydaje — jedna ze znaczących cech plastyki ostatnich lat, nie tylko jugosłowiańskiej, natomiast charakterystyczna dla młodego pokolenia twórców w ogóle. Obraz jest obrazem, rzeźba — rzeźbą; następuje jakby powrót do jednorodności form wyrazu, która została w plastyce przerwana po II wojnie światowej.

Czas pokaże, czy tendencje te będą trwałe i znaczące. Niektórzy krytycy sa zdania, iż zjawisko to sygnalizuje potrzebę powrotu do dawnych związków artysty ze społeczeństwem, ponownego nawiązania dialogu, chęci uzupełnienia wyrazowej funkcji plastyki o jej funkcje przekazowe. Tym też tłumaczy się takby kolejne w historii odkrywanie natury i wykorzystywanie przedstawiających form obrazowania.

Nawiasem mówiąc — niedawno prezentowana w warszawskiej „Zachęcie” wystawa plastyki radzieckiej jest dla pokazu młodej plastyki jugosłowiańskiej ciekawym materiałem porównawczym. Jak różnymi drogami, poprzez odmienne doświadczenia formalne artyści niemal niezależnie od ciałych na ich twórczość tradycji dochodzą do zbliżonych rezultatów.

Daleka jestem od twierdzenia, że takie właśnie tendencje dominują w najnowszej plastyce. bć może jednak sa one sygnałem, że zaczyna się kształtować nowy ład w sztuce; ład, za którym wszyscy już zaczęliśmy po trosze tęsknić.

W roku 1882 przypada 80 rocznica śmierci Henryka Siemiradzkiego — wybitnego malarza polskiego, laureata licznych nagród i członka kilku akademii, którego obrazy zdobią światowe muzea. Jak kiedyś popularna była jego osoba i nazwisko w kraju, świadczy o tym chociażby powiedzenie, które powtarzano sobie u schyłku ubiegłego i w pierwszych latach naszego stulecia: „*Mamy teraz dwóch wielkich Henryków — w literaturze Sienkiewicza, w malarstwie Siemiradzkiego*”.

Henryk Siemiradzki urodził się 24 października 1843 roku w Biegorodzie pod Charkowem. Po ukończeniu gimnazjum podjął studia na Uniwersytecie Charkowskim, które ukończył w roku 1864, uzyskując tytuł kandydata nauk przyrodniczych. Następnie kształcił się w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu — początkowo w prawach wolnego słuchacza, gdyż uczelnia ta przyjmowała na studia młodzież do szesnastego roku życia, a potem uzyskawszy sobie

skich Sukiennicach. Z wielkiej liczby obrazów stworzonych przez Henryka Siemiradzkiego, do najbardziej znanych — poza już wspomnianymi — należą: „*Sprzedaz amuletów*”, „*Wazon czy kobieta*”, „*Tanec wśród mieczów*”, „*Spalenie wodza Rusów*”, „*Chopin u księcia Radziwiłła*” i „*Fryne*”. Artysta wykonuje też dekoracyjne plafony w pałacu Zawiszów w Warszawie i w pałacu Nieczajewa-Malcewa w Petersburgu, kurtyny dla teatru krakowskiego im. Juliusza Słowackiego i teatru lwowskiego, alegoryczne dekoracje dla Filharmonii Warszawskiej oraz kilka portretów.

Jakkolwiek Henryk Siemiradzki przeważnie przebywał w Rzymie, to jego związki z ojczyzną były zawsze żywe. Nie tylko wykonuje szereg prac w kraju i dla kraju, ale eksponuje tu swoje obrazy na wystawach w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu, bierze udział w krajowych uroczystościach oraz przyjaźni się z Józefem Ignacym Kraszewskim, Janem Matejką i Henrykiem Sienkiewiczem. Ponadto w ro-

lacy byli niezwykle serdecznie witani przez Łoździan, tłumnie zgromadzonych przed Teatrem Wielkim i na jego widowni. Gazeta „*Rozwój*” (nr 226 z 1901 r.) pisała: „*Z chwilą ukazania się Sienkiewicza i Siemiradzkiego w pierwszym rzędzie krzesel balkon publiczność powstała z miejsca jak jeden mąż i grzmiącym, długo niemiłkającym oklaskiem dała wyraz swej czci i podziękowania, jaki przypadał naszemu miastu w udziale*”. Ówczesny tego pamiętnego dla ówczesnej Łodzi wieczoru — jak donosi dalej wspomniana gazeta — „*Sienkiewicz i Siemiradzki oraz inni goście udali się na drugie piętro do kancelarii teatralnej, gdzie na umyślnie przygotowanym piótnie, pokrywającym całkowicie jedną ścianę, Sienkiewicz na pamięć swą bytność w Łodzi podpisał się specjalnie przygotowanym pędzlem, przy czym dodał z uśmiechem: „Pierwszy raz w życiu trzymam pędzel w ręku”. Po nim ujął pędzel władca jego Siemiradzki i również uczynił swój podpis...*”

Jeden z wielkich Henryków

uznanie profesorów — przyjęty zostaje w poczet studentów. Już podczas studiów zdobywa nagrody i medale za osiągnięcia artystyczne. Akademię kończy w roku 1870, otrzymując za obraz zatyłowany „*Aleksander Macedoński i jego lekarz Filip*” najwyższą nagrodę — wielki złoty medal oraz sześcioletnie stypendium na studia zagranicą.

Podczas pobytu Henryka Siemiradzkiego w Monachium powstaje obraz „*Orgia rzymska*”, a po przybyciu do Rzymu w roku 1872 — „*Juano-grzesznica*”. To drugie dzieło, eksponowane w roku 1873 na światowej wystawie w Wiedniu, wzbudziło ogólny podziw publiczności i krytyki, zaś Akademia Sztuk Pięknych w Petersburgu nadała swemu wychowankowi za ten obraz tytuł akademika. Światową sławę artyście przynosi wielka kompozycja figuralna zatyłowana „*Pochodnie Nerona*”, za którą otrzymuje wiele nagród, odznaczeń i wyróżnień honorowych w Rzymie, Berlinie, Sztokholmie, Turynie, Londynie, Paryżu i Wenecji. Akademia nadaje mu tytuł profesora.

Pięknym gestem patriotycznym Henryka Siemiradzkiego było ofiarowanie „*Pochodni Nerona*” społeczeństwu polskiemu. Miało to miejsce w Krakowie w październiku 1879 roku, podczas obchodów jubileuszowych zorganizowanych na cześć Józefa Ignacego Kraszewskiego (50-lecie jego pracy pisarskiej). „*Pochodnie Nerona*” zapoczątkowały zbiory galerii narodowej w Krakow-

ku 1884 artysta nabył posiadłość wraz z dworem — pochodzącym z połowy XIX stulecia) w Strzałkowie — miejscowości położonej w odległości 3 km na południowy wschód od Radomska. W Strzałkowie spędził co roku miesiące letnie, tutaj też rozdzielił się zapewne jego pomyślny twórczość i powstawały niektóre szkice. Malarz zmarł w Strzałkowie w dniu 23 sierpnia 1902 roku. Przed śmiercią (20 sierpnia) sporządził testament. Pochowany został w grobie rodzinnym na Powązkach w Warszawie, skąd następnie prochy artysty przeniesiono na Skałkę w Krakowie.

Henryk Siemiradzki mieszkając w Strzałkowie bywał także w niektórych innych miejscowościach ówczesnej Guberni Piotrkowskiej. W roku 1901 został zaproszony na uroczystość otwarcia Teatru Wielkiego w Łodzi (poprzednika obecnego teatru o tej samej nazwie). Obiekt ten, którego budowa trwała 3 lata, został wzniesiony przez Fryderyka Sellina — znanego i zasłużonego przedsiębiorcę teatralnego — przy ul. Konstantynowskiej 14 (aktualnie ul. Obrońców Stalingradu), w miejscu, gdzie dziś znajduje się bar szybkiej obsługi „*Kes*”. Trzydzięciowa widownia teatralna liczyła 1250 miejsc, posiadała wentylację, centrale ogrzewanie i oświetlenie elektryczne.

Na wspomnianą uroczystość otwarcia teatru łódzkiego, która odbyła się 28 września 1901 roku przyjechał również wielki pisarz polski — Henryk Sienkiewicz — przyjaciel Siemiradzkiego. Obaj wielcy Po-

O ile z łódzkiego Teatru Wielkiego Fryderyka Sellina nie zostało się nic do naszych czasów (20 października 1920 roku zniszczył go doszczętnie pożar), to w podradomskim Strzałkowie istnieje budynek, w którym Henryk Siemiradzki przebywał i zmarł. Dawny dwór w Strzałkowie — powiększony w roku 1925, na co wskazuje data przed wejściem do niego — jest cenną pamiątką po naszym wybitnym artyście. Budynek otacza ładny, ale nieco zapuszczony park, gdzie spotykamy szereg interesujących drzew.

Najcenniejszym drzewem znajdującym się w strzałkowskim parku jest blisko 400-letnia lipa zwana lipą Siemiradzkiego — drzewo pokazanych rozmiarów, rozwidłone przy ziemi. Jeden pień posiada obwód wynoszący ok. 3,8 m, a drugi 2,3 m. Według tradycji lipa strzałkowska była ulubionym drzewem malarza, w cieniu którego chętnie spędzał on wolny czas. Pod nią też ponoć odbywały się rozmowy Henryka Siemiradzkiego z miejscowymi właścicielami, przechodzącymi do artysty, aby go powitać, gdy ten zjechał do Strzałkowa na letni pobyt.

Dawny dwór Henryka Siemiradzkiego i jego otoczenie należały niegdyś do PGR, obecnie użytkowane są przez Zasadniczą Szkołę Rolniczą. Dzięki opiece dyrekcji szkoły budynek jest zadbane.

HENRYK SZUBERT



Henryk Siemiradzki — *Dirce Chrześcijański* — fragment

Kronika kulturalna

9 czerwca zmarł w Łodzi artysta-plastyk Tadeusz Kokietek.

Bałucki Dom Kultury już po raz piąty był organizatorem Konfrontacji Teatrów Amatorskich. W tegorocznych Konfrontacjach udział wzięło 12 zespołów z całej Polski. Obok scen bardzo znanych, takich, jak np. Studio B z Torunia, czy zespół z Olecka, w Konfrontacjach obejrzać można było sceny mniej znane, a także niewielkie sceny poezji. Równolegle z Konfrontacjami odbywały się imprezy towarzyszące. Były to warsztaty na tematy teatru alternatywnego, pokaz filmów i forum dyskusyjne.

W minioną niedzielę w amfiteatrze widzowski odbył się Wojewódzki Przegląd Zespołów Amatorskich Folkloru Miejskiego. W przeglądzie wzięły udział kapele z Łodzi i Konstantynowa. Przegląd zorganizował DDK Łódź — Widzew.

Po raz pierwszy Łoździanie będą mieli okazję obejrzeć prace plastyków jugosłowiańskich. W Ośrodku Propagandy Sztuki, w parku im. H. Sienkiewicza, otwarta jest wystawa pt. „*Młoda sztuka jugosłowiańska*”. Uroczystość otwarcia wystawy uświetnili swoją obecnością: radca kulturalny ambasady jugosłowiańskiej w Warszawie, Radojko Antonijević oraz prof. Zdravka Emili, komisarz wystawy. Prof. Emili omówiła kierunki i tendencje w sztuce młodej generacji twórców Jugosławii. Władze naszego miasta reprezentowali: wiceprezydent m. Łodzi, Zbigniew Polit, kierownik Wydziału Kultury KŁ PZPR, Jerzy Gos. O wystawie piszemy obszerniej obok.

W Salonie Sztuki Współczesnej można obejrzeć wystawę prac Jaminy Habdas. Niedawno, o czym informowaliśmy na tych łamach, artystka wraz ze swoim mężem Edwardem Habdase, wystawiała swoje obrazy w Warszawie. Wystawie warszawskiej towarzyszyło spore zainteresowanie publiczności i ciepłe recenzje prasy stołecznej.

W salonie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego otwarta jest wystawa fotografii ZPAF z Kielc, pt. „*Krajobrazy*”.

W Muzeum m. Zgierza czynna jest wystawa archeologiczna pt. „*Z pradziejów Zgierza*”.

Łódzkie Przedsiębiorstwo Usług Budowlanych zorganizowało wystawę malarstwa i grafiki Janusza Wagi.

Bronisław Kazimierz Przybylski został laureatem konkursu kompozytorskiego, ogłoszonego przez ZAIKS w setną rocznicę urodzin Karola Szymanowskiego. Otrzymał III nagrodę za cykl czterech pieśni pt. „*In memoriam*”, na głos i zespół kameralny. Utwory te powstały do tekstów poetów polskich. Poświęcone są Karolowi Szymanowskiemu, a napisane zostały na zamówienie Wydz. Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi.

W Starej Prochowni aktor Teatru Narodowego, Marek Wysocki, zaprezentował „*Kwiaty polskie*” Juliana Tuwima. Ten sam monodram artysta przedstawił niedawno publiczności polonijnej w Anglii, a niabawem usłyszą go także miłośnicy strof Tuwima w Sofii.

Nową premierę pokazał krakowski Teatr im. Słowackiego. Jest to przedstawienie „*Hlob*” wg „*Księgi Hloba*” w przekładzie Czesława Miłosza. Tekst do potrzeb teatru zaadaptował i spektakl reżyserował Krzysztof Babiński. W rolach głównych: Hloba i jego żony, wystąpili Jerzy Nowak i Iwona Bielska.

10 bm. w Teatrze Narodowym w Warszawie odbyła się kolejna premiera. Ryszard Pryt wyreżyserował tam „*Horsztyńskiego*” Juliusza Słowackiego. Rolę tytułową odtwarza Henryk Machalica, w roli Szczęsnego oglądaliśmy Krzysztofa Wakulińskiego, w roli Hetmana Kossakowskiego — Krzysztofa Chameca, Amelię gra Anna Romantowska, a Salomeę — Ewa Błaszczak. Kostiumy zaprojektowała Irena Bięgańska, a dekoracje Jan A. Ciecierski, wspólnie z reżyserem spektaklu.

W Radomiu, w Teatrze im. J. Kochanowskiego odbyła się premiera „*Burzy*” Williama Szekspira w reżyserii J. Słotwińskiego.

W Kielcach pokazano premierę sztuki A. Cwojdzińskiego „*Freuda teoria snów*”. Reżyserem spektaklu jest S. Olejniczak.

W Częstochowie Biuro Wystaw Artystycznych przygotowało we własnej galerii kolejną ekspozycję. Prezentowane jest malarstwo polskie XIX i XX wieku ze zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Na wystawie zgromadzone 140 prac: Jacka Malczewskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Leona Wyczółkowskiego, Józefa Karpińskiego i innych.

W kręgu fantastyki

Jeżeli literatura SF, po wiele obiecujących początkach, zabrnęła w pułapkę gatunkowego getta — co i Lem stwierdza, i inne poświadczają autorytety — stało się to przede wszystkim za sprawą bezwładu, ciężenta skomercjalizowanego rynku, który żądał wprawdzie wciąż nowych i nowych produktów, lecz przeznaczonych niemal wyłącznie dla ściśle wyspecjalizowanych odbiorców, tak zwanych addicts, nalogowców, jak pisze o nich Vera Graaf. Nalogowcy, gwiezdni maniacy, pożeracze tysięcy książek, chętnie widzieliby wprawdzie pomysły nowe i oryginalne, lecz gdy ich nie starcza, zgadzają się też na powielanie wypróbowanych wzorów, byle fabuła była atrakcyjna. Stąd i pisarze poczęli sobie życie upraszczać, chwyt szczęśliwie użyty — bywał natychmiast powielany, atrakcyjny koncept techniczny — trafiał do utworów następných, najczęściej już z autorstwa odarty i frakcjonowany jako własność wspólna.

BLASKI I NEDZE SCIENCE FICTION (3)

Pułapki getta

Z chwilą gdy sir Isaac Newton sformułował prawo powszechnego ciążenia, stało się rzeczą obojętną, czy powiemy „jabłko spadło na ziemię”, czy też „jabłko spadło na ziemię zgodnie z prawem Newtona”, sam fakt spadania jabłek — nie zaś ułamywanie ich w kosmiczny przestwór — jest bowiem czymś obiektywnym i poddającym się doświadczenialemu sprawdzeniu. Inaczej z trzema prawami robotyki Isaaca Asimova, bo choć sam autor traktuje je diablo poważnie, bynajmniej nie wiemy, czy przyszłe androidalne (jeżeli androidalne) i samouczące się roboty będą im istotnie podlegały. Prawa te brzmią następująco:

1. Robot nie może skrzywdzić człowieka albo, przez bezczynność, zaszkodzić człowiekowi.
2. Robot musi słuchać rozkazów ludzi, chyba że są sprzeczne z Pierwszym Prawem.
3. Robot winien chronić własną egzystencję, chyba że wchodzi to w konflikt z Pierwszym lub Drugim Prawem.

Nie wszyscy autorzy zapożyczają się u Asimova, mamy więc roboty tak zaprogramowane, aby — choć do pewnych granic tylko — utrudniały życie człowiekowi (Robert Sheckley: „Zwiadowca — minimum”), mamy bunt robotów i próby przejęcia przez myślące maszyny władzy nad światem, kto jednak trzy prawa robotyki uzna, będzie się na nie powoływał z równie niewzruszoną powagą, jak na prawo powszechnego ciążenia.

W tym przypadku znamy co prawda autora, istnienie równocześnie w fantastyce ogromna ilość terminów, których rodzaj doświadczyłby ustalili jedynie bardzo dociekliwy badacz. Wspomniane już kilkakrotnie „antihilatory”, „miotacze antymaterii”, „kredytki” jako miano wszech-ziemskie czy wręcz wszech-galaktycznej waluty, szybkości pod — a nawet nadświetlne „pole silowe” — terminy te, dla postronnego czytelnika najczęściej nic, albo mało co znaczące, w literaturze SF stanowią wartość obiegową, swobodnie przechodząc z książki do książki.

W stosunkowo wczesnym opowiadaniu Fredrika Browna „Kopuła” (fragmenty w tłum. Juliana Stawińskiego, cytuję za zbiorem „Kryształowy sześciątka Wenus”, wyd. „Iskry” 1966) autor czuje się jeszcze w obowiązku objaśnić zasady działania dokonanego przez bohatera wynalazku, nazwanego tym razem „polem mocy”. Wybitny uczoney — w przewidzeniu iż rozpocznie się właśnie nuklearny konflikt — proponuje swojej sekretarce małżeństwo, a wraz z nim ocalenie przed powszechną zagładą.

„A to, nad czym pracowałem — mówi — było urządzeniem ochronnym przeciw wszelkim bombom i w ogóle wszystkim, z wyjątkiem przeobrażenia Ziemi w małe słońce. Chodziło o pole mocy, przez które nic absolutnie przeniknąć nie może.

— I pan...
 — Tak, zbudowałem je. Mogę wytworzyć je w każdej chwili wokół tego budynku i trwać będzie, jak długo tylko zechcę. Nie nie zdola przez nie przeniknąć, póki tylko bede chciał je utrzymać. Poza tym ten budynek zaopatrzone jest w obrotowe ilości wszelkiego rodzaju zasobów. Są nawet wszelkie nasiona i chemikalia potrzebne do wyhodowania upraw hydroponicznych. Dwojgu ludzi wystarczy tego do końca życia.

— Ale pan przekazuje to chyba rządowi? Jeżeli to ochrona przeciw pociskom jądrowym...
 — Tak — odparł Braden marszcząc brwi — ale niestety ma to niska wartość militarna. W tym sensie sztabowcy mieli rację. Widzisz, Myro, energia potrzebna dla stworzenia takiego pola mocy rośnie proporcjonalnie w stosunku sześciennym do jego wymiarów. Pole wokół tego budynku miałoby średnicę osiemdziesięciu stóp i kiedy je uruchamiam, zużyję tyle energii, że przepali ono zapewne cały system oświetleniowy miasta Cleveland. Dla utworzenia takiej kopuły nad mała nawet wioska czy jakimś jednym obozem wojskowym trzeba wciągnąć energię, niż zbudować cały kraj w ciągu paru tygodni. A gdyby wyłączać pole dla wypuszczenia czy wypuszczenia kogoś, ponowne uruchomienie wymagałoby drugie tyle energii. (...)”

Gdzie indziej dowiadujemy się, że choć dla stworzenia pola potrzebna olbrzymia ilość energii, podtrzymywanie go — zużywa tej energii ilości minimalne. Pole nie przepuszczało niczego, nie przepuszczało również światła, a więc obrazów — ta niedościgniona późniejsi autorzy nie będą się już zresztą przejmować i poprzez pole silowe będzie

można patrzeć równie dobrze, jak przez szybę. Dorzucimy jeszcze jeden fragment starannego opisu, którego dramatyzm wzmacnia fakt, iż Myra — acz podkochująca się w pracodawcy — odrzuciła propozycję, czując się związana z mającą zginąć ludzkością.

„...Bradén skoczył do wyłącznika i... przekreślił. Za oknem, w odległości dwudziestu stóp, wyrosła szara nicieść. Z zewnątrz nie przenikał teraz żaden dźwięk. Wyszedł z domu i spojrzął: szara półkula, wysoka na czterdzieści stóp i szeroka na osiemdziesiąt, dostatecznie wielka, by pokryć dwupiętrowy, niemal sześcienny budynek, który był jego domem i laboratorium. Bradén wiedział, że druga połowa sięga na czterdzieści stóp w głąb ziemi, tworząc łącznie z pierwszą doskonałą kulę. Żadna siła nie mogła przeniknąć od góry, żaden robak i żadna potęga nie mogły wpełznąć czy wdrzeć się od dołu.

I tak było przez pełnych trzydzieści lat.”

Pointa jest gorzka, to, co Bradén wziął za początek konfliktu, było lądowaniem kosmitów, których jeden statek uległ co prawda awarii i zniszczył Boston, w zamian żywili przybysze z Aldebarana obdarzając jednak Ziemią licznymi darami, w tym lekkiem przedłużającym życie. Działa on wszelako jedynie na ludzi przed pięćdziesiątką, Bradén zaś — bezpiecznie ukryty pod kopułą — przekroczył tę granicę.

„Wyszedł ze sklepu i skierował się w stronę budynku do dziś jeszcze znajdującego się pod kopułą, gdzie już na niego czekano. Może użyć tu jednego, o co chciałby prosić — energii, by mógł przyprowadzić pole mocy. Tak, jedynie, czego sobie życzył obecnie, to to, czego się dotąd najbardziej obawiał: pragnął umrzeć, jak żył, w samotności.”

Opowiadanie Browna napisane jest bez wątplenia sprawnie, jest to zresztą jeden z czołowych autorów amerykańskich, przytoczyłem je jednak przede wszystkim jako przykład „literatury pogranicza”, literatury SF dostępnej i zrozumiałej nie tylko dla maniaków gatunku, podającej parametry kreowanego świata, nadto interesującej się nade wszystko człowiekiem, stawianym wciąż przed nowymi nie tylko technicznymi, ale i moralnymi problemami.

Większość drugorzędnych autorów wessanych przez gatunkowe getto gubi wszelako nie tylko wtórność pomysłów, wypracowanych i opisanych przez poprzedników, ale również fakt, iż o człowieku przyszłości, owym „Homo futurum” Very Graaf, bardzo mało, albo nie prawie nie mają do powiedzenia, snując przemienne wizje unieczystwienia ludzkości, bądź też kontynuując „mit westernu”, przeniesionego w międzygwiazdne przestrzenie. Do znużenia często kosmos staje się „gigantyczną Ameryką” z ani na jotę nie zmienionymi stosunkami społecznymi, a wielkie gangi i wielkie korporacje wciąż mają tu głos decydujący.

W tytułowym opowiadaniu tomiku „Kryształowy sześciątka Wenus” pióra A. E. Van Vogta (tłum. Jan Skalny) bohater — ładujący na Wenus samotny navigator jednosobowej rakiety — poddany zostaje skomplikowanemu testowi, dzięki któremu mieszkańcy planety pragną ustalić czy stopień inteligencji mieszkańców Ziemi w ogóle pozwala na nawiązanie obustronnie korzystnego kontaktu.

„Tak! Dobrze zrozumiałe! — mówi tajemniczy głos — Byłeś i jesteś nadal poddawany próbom. Test wypadł niepomysłnie: wszyscy ludzie o podobnym ciębie lub nawet nieco niższym poziomie inteligencji winni być usuwani z Wenus. Wypracowanie właściwych testów do badania zupełnie odmiennej rasy stanowiło niezwykle skomplikowaną i trudną problem. Dlatego też obajecie, co myślisz o przebiegu próby, musisz umrzeć. Tylko w ten sposób inni, którzy przyjdą tu po Ciebie, będą mogli zostać nieświadomie poddani takim samym lub innym testom. Jest to dla nas sprawa nieprzeciętnej wagi. Szukamy bowiem takiego człowieka, który by wyszedł z testu zwycięsko. (...)”

Rozmawialiśmy z tobą za pomocą specjalnej maszyny mówiącej. Proste myśli, jakie przekazywała ci puska z farbą o kształtach kryształowego sześciąta, wlotczyliśmy do tego naczyńca za pomocą niezwykle skomplikowanego urządzenia. Nawiązanie bowiem kontaktu myślowego z niewenusjańskim mózgiem stanowi niesłychanie trudny problem. Ale teraz — zegnaj! I chociaż trudno to zabrzmięć dziwnie, życzymy ci szczęścia!

Bohater oblepiony tajemniczą farbą zawierającą 80 proc. „płynnego światła”, farba, która pozbawia energię potrzebne do powrotu paliwo, a zarazem nie pozwala ciału oddychać, zagracając kosmonautę śmiercią — znajduje jednak rozwiązanie. Wracać już na Ziemię mają podążać w stronę Wenus kolejnym pojazdem kosmicznym.

„Halo! — krzyknął radośnie Klipour — Do zobaczenia! Mam na pokładzie ładunek, który musisz szybko przedłuować. Ładunek? Czego?
 — Farby! Tysiące kryształowych sześciątów wspaniałej farby. Ziemia stanie się naprawdę piękna. A poza tym uzyskałem wyjątkowe przedświadczenie...”

Autor zechce wybaczyć, ale jest to szczerze — choć niezamierzenie — śmieszne. Lot ku Wenus, zetknięcie z obcą cywilizacją, test, który w przypadku negatywnym kończy się śmiercią, a jako jedyny rezultat — wyłącznie przedstawicielstwo na handel wenusjańska farba! Van Vogt umie pisać, ma w swoim dorobku opowiadania rzeczywistości doskonałe, zwłaszcza te techniczne niesamowitością, każdy jednak, kto chce się od Ziemi oderwać, musi — jak sadzę — zdobyć się na jeden jeszcze wysiłek i przynajmniej próbować oderwać się również od współczesnych stosunków społecznych i myślowych schematów. Nie wiem, czy człowiek przyszłości będzie z całą pewnością lepszy od współczesnego — w co niezachwianie wierzy większość autorów rdziejskich — z pewnością będzie on jednak chociaż cokolwiek inny, bo wobec nowych stawiany problemów.

Mnożąc międzyplanetarne hece, powielając — w otoczce techniki przyszłości — już nie tylko wzorce westernu, ale w ogóle wszystkie inne wypróbowane wzorce z pirackimi włączając, z gatunkowego getta fantastyki nigdy się nie wyrwie, przeciwnie, będzie się w nim coraz to głębiej grzebił. Przypomnijmy sobie, iż to człowiek — nie technika — jest wszelako podmiotem literatury, uciekając od gotowych sztańc i wytartego, a zarazem poniekąd specjalistycznego żargonu, piarstwo SF wciąż jeszcze może być jednak „przygodą ludzi myślących”, jak to ładnie Lem określał.

Szansa ta nie jest stracona bezpowrotnie i szansa tej w miarę naszych skromnych możliwości chcielibyśmy choć troszeczkę służyć, nie przypadkiem wybierając na początek opowiadania — choćby takie jak „Czy można poprosić Ninę?” Kłryla Bulyczowa — które, mamy nadzieję przynajmniej, mogły zainteresować nie tylko kosmicznych nalogowców, choć do gatunku fantastyki przynależą z całą pewnością.

Nieco szerzej o tej szansie za tydzień — w kolejnym odcinku tego biuajmniej nie pretendującego do uczoności szkicu.

Matka troskliwie opatulila chłopca i razem ruszyli w ciemność. Z nadejściem nocy osiedle ucichło i tylko gdzieś w oddali bez przerwy szelekał jakiś zbyt pilny pies. Zeszli po kamiennych stopniach. Przed nimi w słabym świetle pojedynczych latarni majaczył długi chodnik, biegnący wzdłuż szerokiej gruntowej drogi. Chłopiec szedł, jak zwykle, z przodu. Zadarłszy głowę wpatrywał się w czarne niebo.

— A na tym obrazku jest coś nie tak — młec niespodziewanie odwrócił się do matki i ta o mało nie potknęła się o małą figurkę. — Tam są narysowane takie kropeczki z ostrymi igielkami.

— A-a, o tym mówisz. To bardzo stara książka. Tak kiedyś rysowano gwiazdy, z promykami.

— Gwiazdy? — chłopiec nie zrozumiał i aż się zatrzymał.

— Ty mi nic o tym nie opowiadałeś.

Kobieta nie miała ochoty wdawać się w długie wyjaśnienia.

SIERGIEJ FILIPONOW

W drodze

— Jeszcze ci opowiem, jutro, kiedy włączy się dzień.

— W tej książce pisało, że dzień się nie włącza, tylko następuje.

— To prawie to samo. A w ogóle po co brałeś tę książkę? Ojciec bardzo o nią dba i będzie zły, gdy się dowie.

— Sam mu powiem. Może on mi opowie, skoro ty nie chcesz...

Przez jakiś czas szli w milczeniu wzdłuż szeregu ponurych śpiących domów, których ledwie można się było domyślać w otaczającym mroku. Ale chłopiec nie potrafił długo milczeć.

— I one świeciły?

— Kto one? — matka, zatopiwszy się we własnych myślach, zgubiła wątek rozmowy.

— Ach, gwiazdy. Tak, oczywiście, tylko że one dawały bardzo mało światła.

— Mniej niż latarnie?

— Dużo mniej.

— Mniej niż lampy w ciepłarniach?

— Oczywiście.

— Mniej niż dzienne lampy?

— W ogóle nie ma porównania.

Chłopiec zamyślił się.

— I nie było z nich żadnego pożytku?

Malec był przyzwyczajony do tego, że wszystko, co go otaczało, w ten czy inny sposób służyło pożytecznym celom i było ściśle wyliczone; szczególnie ciepło i światło.

— Zadnego, synu — z rozżalaniem odpowiedziała matka.

— Wszystko jedno... — Chłopiec westchnął — to musiało być bardzo ładne.

— Nie wiem. Już dawno nie ma ludzi, którzy je widzieli.

— Ach, gwiazdy. Tak, oczywiście, tylko że one dawały bardzo mało światła.

— Mniej niż latarnie?

— Dużo mniej.

— Mniej niż lampy w ciepłarniach?

— Oczywiście.

— Mniej niż dzienne lampy?

— W ogóle nie ma porównania.

Chłopiec zamyślił się.

— I nie było z nich żadnego pożytku?

Malec był przyzwyczajony do tego, że wszystko, co go otaczało, w ten czy inny sposób służyło pożytecznym celom i było ściśle wyliczone; szczególnie ciepło i światło.

— Zadnego, synu — z rozżalaniem odpowiedziała matka.

— Wszystko jedno... — Chłopiec westchnął — to musiało być bardzo ładne.

— Nie wiem. Już dawno nie ma ludzi, którzy je widzieli.

nia, jak już to się nieraz zdarzało.

— Tak ci się tylko wydaje, kochanie. W rzeczywistości lecimy z ogromną, przegromną szybkością. Zużywamy na to prawie całą naszą energię. I to wszystko na pewno niepotrzebnie.

— Dlaczego niepotrzebnie? I po co my lecimy? Nam przecież i tak jest dobrze.

— Nie, maleńki. Polecieliśmy po to, by ocalać. Tam, gdzie byliśmy przedtem, wszystko miało zginąć. Słońce, gwiazdy, cały świat, wszystko, wszystko.

— O-o, to my uciekliśmy na czas.

— Tak, syneczku. Ale teraz kończy się nam energia. A trzeba dolecieć tam, do tej planki. Ona nazywa się Drugim Megasytemem.

Chłopiec zobaczył nad dachem domu widmowy strumień światła.

— Teraz jesteśmy w połowie drogi. Całą naszą energię zużywamy na ruch. To dlatego dookoła jest tak zimno i ciemno. A teraz niektórzy ludzie tak sobie myślą: „A może w ogóle nie należy lecieć?”

W tym momencie kobieta przyłapała się na tym, że opowiada synowi o rzeczach poważnych i mało zrozumiałych.

— Ci ludzie mówią: „Trzeba zmniejszyć przyspieszenie. I tak nie uda się nam osiągnąć bariery światła. Zrobimy niewielkie słońce, w rodzaju tego, które wybuchło tam. Wystarczy go nam na tysiące lat. Pożyjemy jak ludzie, a nie jak krety”.

— Słońce? To na pewno dobrze?

— Dobrze, synku, ale wtedy na pewno nie dolećmy. To znaczy, dolećmy, tylko że za późno. Słońce się wypali i tu na ziemi wszystko ostygnie. A do celu doleci jedynie całkiem martwa łódźka.

Światłista plama cały czas tkwiła nieruchomo w górze.

— A tam?

— A tam, syneczku, będzie przepięknie. To młody system, pełen oślepiających, gorących gwiazd. Wybierzemy sobie dobre słońce, że wspaniałymi zielonymi planetami. Bedziemy tam żyć! Za nami zostanie ta stuletnia ciemność. Tam nie zginiemy.

Głos matki zatałam się. W dale, na smutnym tle nadziemnej stacji pojawiła się sylwetka mężczyzny. Chłopiec puścił się pędem w jego kierunku i uwiesił mu się na szyi.

— Tato! Mama mi wszystko opowiedziała. Ty na pewno jeszcze o niczym nie wiesz! My wciąż lecimy! Do gwiazd! Nie starcza nam energii!

Ojciec posadził sobie chłopca na ramionach i uśmiechnął się do żony.

— Nie zawracaj chłopcu głowy. Jeden zwolnienik lotu w rodzinie najzupełniej wystarczy.

— Ale chłopiec był przepełniony świeżo zdobytymi wiadomościami.

— Ale kiedy my tam dolećmy, tato? Kiedy?

— Wtedy, gdy już będziesz dorosły.

Szum deszczu w ciepłarniach wzniósł się.

— Jeśli nam tylko starczy materii i jeśli nauczymy się ją odpowiednio wykorzystywać.

— Nauczycie się. — Chłopiec świecąc wierzył w ojca i jego współpracowników.

Rodzice uśmiechnęli się niewesoło.

— Wątpię i dlatego cała nadzieja w tobie, synu. Ty nas na pewno nie zawiedziesz.

Ojciec, jak zwykle, żartował. Ale chłopiec wyczuł, a może usłyszał coś w rodzaju głęboko skrywanej nadziei w głosie silnego, dużego człowieka. Popatrzył na świetlną plamę zupełnie innym wzrokiem, jakby oceniając drogę, którą trzeba jeszcze przebyć.

Tylko nie zatrzymywać się w pół drogi. Nie rozpraszać się, nie trwonić niepotrzebnie sił. Dalej! Ku gwiazdom!



JERZY PANASEWICZ

Rys. Dariusz Wąz

TLUM. M. EID

Zasiąść na tronie...

HENRYK SROCYŃSKI

Jedna z agencji prasowych donosiła: „Pretendent do tronu Francji, Henri Robert Ferdinand Maria Louis-Philippe d'Orlean, 70-letni hrabia Paryża, „spadkobierca 40 królów, którzy stworzyli w ciągu tysiąca lat Francję”, opublikował swe pamiętniki, które stały się bestsellerem. Ich kwintesencja sprowadza się do zdania, że generał Charles de Gaulle rozważał restaurację monarchii francuskiej i później w 1965 r. wybrał hrabiego na swego następcę na stanowisko prezydenta. Hrabia Paryża uważa monarchię za najlepszą formę rządów: „ale szansa jej minęła, nie dla mnie lecz dla Francji”.

Czasy i trony zmieniły się bardzo od kiedy dominowały w świecie monarchie. Przede wszystkim nadal zmniejsza się ich liczba. Tylko w ostatnim dziesięcioleciu upadły trony w Grecji, Afganistanie, Etiopii, Laosie, Kambodży, Iranie i Cesarstwie Środkowoafrykańskim. W tym okresie przywrócono tylko jedno królestwo — w Hiszpanii. Współcześnie jest w świecie 26 koronowanych głów, i oczywiście nie mniejsza liczba pretendentów do tronów ubolewających, tak jak hrabia Paryża, że państwa nie chciały lub nie chcą skorzystać z szansy przywrócenia monarchii. Oczywiście, strata jest tylko po stronie tych państw.

Rody królewskie, na które przedtem światło dzienne padało z rzadką i na ogół tylko wtedy, gdy ich członkowie żenili się, kiedy obalano władców lub ścinano im głowy, dziś znajdują się pod nieustannym okiem prasy i telewizji. Często zandrości się królom wystawnego trybu życia. Bądźmy jednak sprawiedliwi — dzięki nim premierzy, ministrowie i różni urzędnicy państwowi oszczędzają sobie czasu na przyjmowanie gości zagranicznych, odbywanie podróży propagandowych, przecinanie wstęg i uczestniczenie w różnych uroczystościach.

Najbardziej znaczącą monarchią w świecie jest oczywiście korona brytyjska. Istnieje ona już od dziesięciu wieków, a królowa Elżbieta II jest czterdziestym drugim monarchą od czasu Wilhelma Zdobywcy.

Pierwszym i bodajże najważniejszym czynnikiem sprawiającym, że królewski majestat utrzymuje się przez tyle pokoleń (z wyjątkiem 11-letniej przerwy w XVII wieku) jest pragmatyzm monarchii, połączony z wielkim przywiązaniem do niej Anglików.

Pompa, w której lubują się Anglicy, stanowi nie tylko dowód silnego powiązania tradycji z współczesnością, ale i utrwała mit o tym, że królowa rzeczywiście rządzi krajem. Wprawdzie Elżbieta II stoi na szczycie piramidy społecznej, którą wspiera dwór, arystokracja i kościół angikański, wprawdzie królowa jest naczelną dowódcą brytyjskich sił zbrojnych i szefem aparatu administracji państwowej, faktycznie jednak ma tylko trzy uprawnienia: prawo być konsultowaną, prawo do udzielania poparcia i prawo do ostrzegania. Nie oznacza to jednak, że o sprawach państwa monarchini dowiaduje się z prasy czy radia. Każdego dnia do pałacu buckinghamskiego przynoszone są teści i z dokumentami państwowymi, obejmujące różnorodne zagadnienia, nie wyłączając tajemnic nuklearnych. Ponoć połowę swego czasu królowa spędza na studiowaniu tych materiałów.



Król Jordani Hussain z rodziną.



„Negus Negest!” Haile Selasie w stroju koronacyjnym.

„Zniej więcej jej to ułatwia rozmowy z politykami brytyjskimi, jak i z osobami oficjalnymi za granicą.

Królowanie nie jest tanie — dotacja dla Elżbiety II wynosi 2,7 milionów funtów rocznie. Ale też rząd czerpie korzyści z racji wykonywania różnych funkcji przez rodzinę królewską. Zwłaszcza podróże zagraniczne królowej są bardzo opłacalnym dla eksportu przedsięwzięciem. Poważne zyski przynosi również rozbudowany ceremonial królewski w Londynie — Anglia zarabia rocznie na turystyce około 10 miliardów dolarów.

Monarchia brytyjska ma, rzecz jasna, swoich oponentów. Nie są oni liczni i może właśnie dlatego ich cierpkie słowa krytyki zwykle nabierają dużego rozgłosu. Swego czasu gazety brytyjskie skrupulatnie odnotowywały coroczne wystąpienia labourystowskiego posła Williama Hamiltona, który przed głosowaniem w Izbie Gmin nad funduszami dla dworu, rozważał celowość niektórych wydatków. Ale pomijając tak sporadyczne i nieszkodliwe dla monarchii interpelacje, raczej warto odnotować inny, coraz mocniej podnoszony zarzut wobec królewskiego majestatu. Zarzuca się monarchii, że stanowi czynnik utrwalający skostniałe struktury społeczne: elita brytyjska oparta na arystokracji, pilnie strzeże swych praw i hamuje dopływ na odpowiedzialne stanowiska jednostek wybitnie uzdolnionych. Dla przeciwnieństwa przedstawia się demokratyzowany ruch kadrowy w innych państwach np. w Stanach Zjednoczonych i Japonii. Niektórzy politycy i publicyści upatrują w tym sztywnym systemie wspinania się kadrowego w Anglii, jeden z głównych powodów regresu gospodarki brytyjskiej, a zwłaszcza zmniejszającego się jej udziału w handlu światowym.

To prawda, że w czasie panowania Elżbiety II (jej koronację przed 30 laty witano jako narodziny nowej ery) nastąpił zmierzch potęgi brytyjskiej. Jednakże gwoździem trzeźwością trzeba powiedzieć, że ogół polityków i społeczeństwa nie identyfikuje tego upadku znaczenia wysp z panowaniem monarchii. Monarchia nadal, zwłaszcza dla odłamów konserwatywnych, stanowi nienaruszalny relikwiarz brytyjskiej rzeczywistości.

„Król nas uratował. Bez króla moglibyśmy dzisiaj raz jeszcze pograć się w otchłani hańby, głupoty i nienawiści” — napisał jeden z tygodników madryckich po nieudanym zamachu stanu w lutym ub. roku. W tym duchu pisało również wiele gazet hiszpańskich, wyrażając wdzięczność Juanowi Carlosowi za zdecydowaną postawę w czasie krytycznej nocy, gdy Gwardia Cywilna wkroczyła do parlamentu. Król, aby zapobiec prawicowemu zamachowi stanu, osobiście kierował wszystkimi posunięciami przewidzianymi w tajnych planach na taką okoliczność. Jego też słowa wypowiedziane w telewizji: „Korona symbolizuje istnienie i jedność kraju i w żaden sposób nie może tolerować działań czy postaw osób podejmujących próby zakłócenia demokratycznej realizacji konstytucji zaaprobowanej przez naród hiszpański” przyniosły tronowi wzrost aury i sympatii.

Odważne zachowanie się Juana Carlosa dało okazję do przypomnienia przydomku jaki mu nadano w 1969 r. — nowy Don Kichot. Wówczas to bowiem, po powołaniu go przez gen. Franco na swego następcę, młody książę złożył przysiężenie godne Don Kichota: „Nie zawaham się zrobić wszystkiego co konieczne dla przyszłości Hiszpanii”.

Monarchia jest dla wszystkich, a nie dla pojedynczych grup czy partii — ta dewiza, która wciąż poddawana jest w Hiszpanii weryfikacji w warunkach systemu demokracji, już właściwie się sprawdziła. Największy paradoks stanowi przy tym to, że monarchia okazała się najlepszym spadkiem jaki pozostawił po sobie dyktator, gen. Franco.

Przystojny i zamilowany w sporcie król odbywa ciągle podróże po kraju. Rzadko zaś wyjeżdża za granicę. Mimo zaproszeń ze strony dworu brytyjskiego, odmówił wizyty w Anglii. Hiszpania toczy bowiem spór z tym krajem o Gibraltar.

W Belgii monarchia nie ma zbyt długiej tradycji, ale dla Walonów i Flamandów tworzących rozdarłe etnicznie społeczeństwo tron jest jakby kłami spajającą naród. 52-letni król Baudouin musi w tych warunkach wykazywać niezwykle zdolności dyplomatyczne. Jak się twierdzi w Brukseli, panuje on jednak z taką zręcznością jak pierwszy król Belgów, Leopold I, o którym pisało: „jest Panem, który osiąga wszystko łagodnością”.

Król Baudouin ma uprawnienia ściśle ograniczone przez konstytucję. Jego główna rola sprowadza się do powierzania w czasie kryzysu rządowego roli stworzenia nowego rządu wybranej przez siebie osobie.

Monarcha cieszy się dużym wsparciem nie tylko w Belgii, ale i w Zairze, stanowiącym kiedyś kolonię belgijską (Kongo). Mimo iż to terytorium było posiadłością rodzinną, król w czasie eksplozji ruchów narodowowyzwoleńczych w Afryce, jako jeden z pierwszych nawoływał do uznania suwerenności Konga.

W Szwecji nowa konstytucja, która weszła w życie w 1973 r. pozbawiła króla wszystkich uprawnień i kraj ten pozostał monarchią jedynie z nazwy. Król Karol XVI Gustaw obowiązany jest płacić podatki tak jak każdy obywatel, zaś osiem pałaców królewskich przeszło na własność państwa.

Dużą popularność (75 proc. Szwedów popiera monarchę) zawdzięcza król zwłaszcza swemu aktywnemu udziałowi w życiu publicznym kraju i swemu bezpośredniemu, nieskrepowanemu etykietą dworską postępowaniu. Ożeniwszy się z Silvą Sommerlath, córką zachodniomemieckiego biznesmana, słynie jako przykładowy mąż i dobry, kucharz. Uprawia sporty, pracuje na swojej farmie i często spotyka się ze szkolnymi kolegami.

Najstarszą, ale jednocześnie najbardziej beceremonialną monarchią w Europie jest monarchia duńska. Królowa Małgorzata ma ponoć w sobie tyle etykiety, co stare niebieskie dziny jakie nosi w życiu prywatnym. Droga do tronu — co jest ewenementem wśród rodzin królewskich — ugotowała Małgorzata referendum. Do 1953 r. w Danii tylko mężczyzna mógł zasiadać na tronie. Wobec tego, że Fryderyk IX nie miał ani jednego syna, a tylko trzy córki, przeprowadzono plebiscyt na podstawie którego waleśiono poprawkę do konstytucji; otworzyło to drogę Małgorzacie do koronacji.

Królowa Małgorzata, która studiowała na kilku najbardziej renomowanych uczelniach Europy m. in. w Cambridge i Sorbonie, posiada opinie najbardziej inteligentnej monarchini Europy.

Jednym z najstarszych monarchów jest cesarz Japonii, Hirohito (82 lata), który jako odpowiedzialny za militarystyczną Japonię i udział w doprowadzeniu do wojny został pozbawiony swej boskości i praktycznie — wszelkich prerogatyw władzy.

Hirohito (124 monarcha japoński) przejął władzę po swym ojcu w 1926 roku. W ciągu pierwszych 20 lat panowania miał decydujący głos we wszystkich sprawach państwowych; jako reprezentant bogów był uznawany za nieomylnego. Kiedy w 1976 r. obchodzono jubileusz tronu, uroczystości zostały zwołane przez szereg ugrupowań politycznych. Mówiono wówczas w Tokio o rychłej abdykacji cesarza. Na tronie miał zasiąść książę Akihito, który w 1951 r. otrzymał tytuł następcy tronu. Jak widać Japończycy wolą zachować dawny symbol, nie przywiązując jednak wagi do tej archaicznej instytucji.

Rekord panowania na tronie należy jednak do króla Sabhuizy II w maleńkim państewku w Afryce — Suazi. Władca ten nieprzerwanie sprawuje rząd od 61 lat (koronowany w 1921 r.). Wielekroć jego despotyczne rządy były poważnie zagrożone, uchroniło go tylko rozwiązanie parlamentu, zawieszenie działalności partii politycznych i wprowadzenie ostrego terroru.

Co pewien czas w prasie zachodniej, a zwłaszcza w wielonakładowych popołudniówkach ukazują się doniesienia o losach monarchów bez tronów. Ci wywędzeni królowie, choć utracili fortuny, pozostali przy wielkich nadziejach. Ich wza-



Król Asantewa ceni dłoń papieża



Królowa Elżbieta i książę Walii Karol.



jemne kontakty, nowe koligacje i w niektórych przypadkach zaangażowanie polityczne, pozwalają im przypominać światu o sobie.

Do tego najbardziej ekskluzywnego klubu, którego członkowie zamienili pałace na drogie domy, m. in. należy uchodzący za najbogatszego wygnańca książę Reza Pahlavi, syn zmarłego szacha Iranu. Wprawdzie Stany Zjednoczone zablokowały konta szacha i zobowiązały się do zwrotu Iranowi wielkich sum, to jednak wiadomo, że przezorny cesarz lokował pieniądze w sejfach szwajcarskich. Natomiast za najuboższego władcę bez tronu uchodzi sultan Zanzibaru — zamieszkuje w Anglii. Gdy udawał się samolotem na emigrację nie miał nic oprócz diamentowego pierścienia i 50-osobowej świty, złożonej z rodziny oraz służby. Dziś sultan mieszka w dzielnicy zanzibarskiej w Portsmouth i dzieli z żoną obowiązki domowe.

Nieźle się wiedzie 35-letniemu dziś królowi Tunezji, Rehadowi, który jest właścicielem banku we Francji. Wierzy on w powrót na tron i nie szczędzi pieniędzy na swą reklamę. Także przekonany jest o możliwości swego powrotu na tron grecki Konstantyn, który w 1976 r. osiadł z małżonką, królową Anną Marią oraz trojgiem dzieci w Anglii. Z pewnością też w skrytości ducha, choć oficjalnie temu zaprzecza, liczy na odzyskanie berła syn Haile Selassie, przebywający w Londynie. Inny pretendent do tronu syn egipskiego Faruka używa życia w Monie Carlo, a król Albanii, Leka I, który zajmował się handlem bronią, wciąż zapowiada, że... zorganizuje w swym kraju partyzantkę.

Jeszcze parę lat temu pisma zachodnie prowadzące rubryki „z życia wyższych sfer” donosiły, że 90-letni król Libii Idris żyje w Madrycie, król włoski Umberto udziela audiencji turystom w Portugalii, bułgarski Symeon pozostaje na utrzymaniu żony, rumuński Michał pracuje jako przedstawiciel firm brytyjskich i amerykańskich, a córka kajera, Wiktorina Luiza, żyje komfortowo w Brunszwicku. W Hiszpanii zaś zamieszkuje arcyksiążę Władimir szczytujący się krwią Romanowów — on zapewne również myśli o berle, ale... kto chciałby go koronować?

Między członkami klubu wypędzonych władców, a panującymi monarchami, istnieją wielorakie związki. Zwłaszcza silne są związki rodowe obecnych i byłych władców w Europie. Bez względu też na protokół, ekskrólów często odwiedzają monarchów zasiadających na tronach, uczestniczą w różnych uroczystościach i pogrzebach. Najchętniej przygarnia tych byłych władców pałac Buckingham. Król choćby był najuboższy i nie miał żadnych nadziei na odzyskanie korony, zawsze przecież będzie królem.

A miało być piękne życie...

Bohaterka niniejszych zwierzeń mieszka w Zduńskiej Woli. Jej sprawa jest dość głośna wśród mieszkańców miasta i znana władzom. Gdy ją odwiedziłem, prosiła o jedno: chce zachować anonimowość. Nie ze względu na siebie, ale na dorastającego syna.

— Dziesięć lat temu wyszłam za mąż z wielkiej miłości. W młodości zawsze jest uczucie i spontaniczność. Ale szybko zostałam wyleczona ze złudzeń. Moje życie potoczyło się zupełnie inaczej niż opisuje to literatura czy pokazują się na filmach. Pełnia szczęścia małżeńskiego trwała zaledwie osiem miesięcy. Dziś dochodzę do wniosku, że był to i tak spory odcinek czasu bez chmur. Wkrótce zjawiała się wódka, którą mój mąż polubił bardziej niż dom, potem w jego życie wkroczyły inne kobiety... Po czterech latach naszego małżeństwa, mój mąż „dorobił się” niesubnego syna. W domu, a starałam się utrzymać bodaj pozory dobrego pożycia, stawało się coraz trudniej. Awantura zmieniała awanturę, straciliśmy zupełnie do siebie zaufanie, pojawiała się niechęć w końcu wrogość. Dla męża stałam się człowiekiem obcym, a dom zaledwie miejscem noclegu.

— Mieszkam z ciocią, kaleką z pierwszą grupą inwalidztwa, która opiekowała się dzieckiem, kiedy ja jeszcze pracowałam. Jest to kobieta przykuta do krzeselka, ale pomagała mi jak mogła i umiała. Mój mąż miał i o to do niej pretensje. Raz usiłował wyrzucić ją przez okno, a to przecież drugie piętro, innym razem chciał zepchnąć ze schodów. Interwencje sąsiadów, władz, kolegów. Pasma uderek, nieustające plekło, awantury. W tym wszystkim rósł mój synek, Krzysiek, który choć niczego jeszcze nie pojmował to przecież się bał, zrywał się w nocy, krzyczał. Ta atmosfera wpłynęła poważnie na dzisiejszy jego system nerwowy. Ma 10 lat, dobrze się uczy, ale...

— Jak pan widzi, moje marzenia o szczęśliwym życiu, o cichym domu, o radości z dziecka, zostały zamordowane przez człowieka, który miał ze mną owo szczęście współtworzyć. Budowaniu tego szczęścia poświęcałam całą swoją młodość, pracowałam, przez dwanaście lat byłam kierownikiem w „Woli”, zarabiałam dobrze. Mogło więc być piękne życie, takie małomiasteczkowe, łączyłoby się z miłością. I nagle tragedia. Nie dość że mąż szybko rozwiał moje dziewczęce marzenia, okazało się wkrótce, że jestem ciężko, może nieuleczalnie chora. A więc badania specjalistyczne, wyjazdy do Warszawy, w końcu wyrok: nowotwór! Znalazłam się w roli skazanego, który ma te swoje ileś tam dni, aż nastąpi egzekucja. Mąż, gdy tylko się o tym dowiedział, zupełnie przestał się mną zajmować. Stałam się dlań trowatą, odpychającą, po prostu brzydki. Mnie i tego wszystkiego, co ze mną jest związane. Zresztą sądził, że ze szpitala nie powrócę, że to już koniec. Ale lekarze odrzucili na jakiś czas wykonanie wyroku. Żyje. To go zupełnie wytrąciło z równowagi, pokrzyżowało plany.

Kiedy wróciłam do domu, zupełnie załamana, ze świadomością, że stanęłam u kresu czegoś tak pięknego jak życie, mój mąż nie potrafił ukryć zdziwienia: „Jeszcze żyjesz? Nie zdechłaś?” A ja tak pragnęłam spokoju, czuję się ciepła, ludzkiej uwagi i życzliwości...

— Sama nigdzie nie wychodzę, nie mam na to siły, nie potrafię niczego podźwignąć. Egzystuję. Proszę spojrzeć: ściany mają dziury, to Krzysiek kiedy był jeszcze mały. Mąż miał to zagipsować i pomalować. Ale gdzie tam! Wyprowadził się od razu, przestał przychodzić, chyba że chce się wyżąć, urządzić nam awanturę. Jego doprowadza do pasji fakt, że jeszcze żyje. A niby co mam zrobić? Wskoczyć z okna? Przecież ja nie wiem, ile mi zostało, Krzysiek jest mały, sam swojego życia nie ukocha, ktoś musi o niego zadbać lub chociaż zabezpieczyć mu przyszłość. Mąż nie chce o nim słyszeć, zresztą żyje z kolejną kobietą, która ma dwoje dzieci...

— Mąż, kiedy się zjawia, zawsze pyta, czy jeszcze żyję. Przy tym śmieje się, czyni nieprzyzwoite uwagi. Gdy powiedziałam, że jest nam ciężko z dzieckiem, oświadczył, że może mi dawać 800 złotych i ani grosza więcej. A przecież zarabiał dużo, z wykształcenia jest technikiem budowlanym, choć w tym zawodzie nie pracuje twierdząc, że to robota dla głupich. Od lat jest zatrudniony jako jubiler. Niestety, gdy sprawa dotyczy alimentów, zaczyna się śmiać i mówi, że nie ma z czego zapłacić. Jego pracodawca wystawił mu zaświadczenie, że zarabiał zaledwie 4 tys. złotych. Więc proszę powiedzieć, jak ja mam żyć z dzieckiem i niedołączoną ciocią, przykuta do krzeselka? Z renty wynoszącej 3.970 złotych? A do tego, proszę popatrzeć, mieszkanie jest opalone węglem, który trzeba dźwigać z piwnicy. Kto ma to robić? Proszę mi wierzyć, były chwile, kiedy nie widziałam sensu dalszego życia. Czasem leże i tak myślę, że przecież o ile są spokojniejsi ci, którzy już nie cierpią. Ale zaraz nadchodzi mnie refleksja, że mam dziecko, że jeszcze muszę coś dla niego zrobić. W końcu znalazłam się w sytuacji, która mogłaby doprowadzić do nieszczęścia. I właśnie wtedy postanowiłam poprosić o pomoc innych. Kogo? Kto dziś ma władzę, kto może się zająć moją sprawą? Wówczas tu udatam się do I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR, do towarzysza Zdzisława Paprockiego. Wiedziałam, że ludzie dobrze o nim mówią, że pomógł niejednemu. Poszłam i mówię:

„Towarzyszu, pomóżcie, dajcie mi mieszkanie na parterze i żeby było centralnie ogrzewane, bo tej zimy już nie przeżyjemy. Mieszkanie, które

zajmuję, kiedyś, ze względu na kalestwo cioci i na jej chorobę, musieliśmy przegrodzić. A to przecież zaledwie pokój z kuchnią. Istniejący jeden piec nie jest w stanie ogrzać całosci. Zresztą, kto ma w tym piecu palić? Syn mający 10 lat? Ja, która leżę, czy ciocia przykuta do stołeczka? Przecież na dobrą sprawę dziecko nie powinno przebywać ze mną w jednym pomieszczeniu, nawet ze względu na czysto estetycznych”.

Sekretarz, dobry człowiek, bardzo się tym przejął, powiedział, że zrobi wszystko, co można, by mi ulżyć. Tak więc czekam...

— Powiem panu o Krzysiu. Dziecko chce się bawić, oglądać telewizję, a ja czasami jestem w takim stanie, że wszystko mnie krytuje, denerwuje, przeszkadza. Co w takiej sytuacji mam robić? Mam mu zabraniać? Przecież ten chłopczyk na dobrą sprawę nie miał normalnego dzieciństwa, zawsze słyszał tylko krzyki pijanego ojca, wyzywiska i ogładał awantury, był świadkiem, kiedy byłam bita, kiedy była bita moja ciocia. W ubiegłym roku, proszę tylko sobie wyobrazić, ten mały chłopczyk musiał opiekować się ciocią — kaleką, kiedy mój mąż spowodował u niej złamanie nogi. Było to tak, że mąż rozbił samochód i koledzy pomogli mu w ściągnięciu wozu z trasy. Więc przyprowadził ich tu, solidnie popili (potem okazało się, że przy okazji nas okradli), no i w tym czasie ciocia, która ma niedowład kończyn, złamała nogę. Ja w tym czasie leżałam w szpitalu, byłam także przykuta do łóżka. I właśnie ten mały chłopczyk opiekował się ciocią. Sam, rozumie to pan? W mieszkaniu dwoje ludzi: chora, niedołężna, stara kobieta i mały, wówczas dziewięcioletni, chłopiec! Więc czy nie mam racji, że chce zabezpieczyć jego los, uchronić od tego, czego już doświadczył w nadmiarze?

— Rozstanie z ojcem Krzysiek przeżył bardzo mocno. Początkowo nie mógł zrozumieć, że ojciec nie chce do niego przychodzić, że go odpycha. Aż raz, było to nie tak dawno, kiedy mąż się tu zjawił, Krzysiek ułaski przed nim i tak go prosił, tak prosił... Mąż go odepchnął mówiąc, że takich dzieci jak Krzysiek jest na świecie bardzo dużo, a do domu nie ma zamiaru wracać. Wie pan, w szkole dzieci czasem, nawet nieświadomie, sprawiają Krzysiewi ból, kiedy mu mówią, że widzieli jego ojca pod ręką z inną panią. Wtedy syn wraca cały rozrzęszony, płacze, źle śpi...

— Założyłam sprawę rozwodową i nie dlatego, żeby otrzymać wyższe alimenty. Pracodawca, gdzie mąż jest zatrudniony, ponownie wystawił mi zaświadczenie, że zarabiał zaledwie 4 tys. złotych. Ale gdyby pan zobaczył mojego męża, wówczas by się pan przekonał, że mając cztery tysiące miesięcznie nie można ani tak się nosić, ani prowadzić takiego trybu życia. Ubięra się w drogie ubrania, jeździ dużym fiatem, lubi zabawy,

hulanki... A ja? Proszę sobie wyobrazić, że dopiero od zeszłego tygodnia mamy przydzieloną siostrę z PCK, która dokonuje nam zakupów żywności. Przedtem opiekowała się nami 86-letnia kobieta, Marianna Pabich, która przynosiła nam chleb, ziemniaki itp. A sprawę rozwodową założyłam, bo chcę unormować życie mojego dziecka zgodnie z prawem.

— Teściowie, to znaczy rodzice męża, są raczej zadowoleni, że ich syn ułożył sobie życie od nowa. Ja jestem chora, nikt nie wie jak potoczy się to moje schorzenie, więc żyć z taką kobietą nie ma najmniejszego sensu. Wie pan, w małych miastach człowiek chory na raka od razu staje się kimś brzydkim, trefnym, kimś kogo należy unikać. Mnie zwyczajnie skreślono, już nie istnieje. A to, że ciągle żyję, jest właściwie moją winą, gdyż w ten sposób przeszkadzam żyć innym...

— W Dniu Dziecka teściowa przyszła do Krzysia i przyniosła mu koszulkę oraz parę cukierków. Ale Krzysiek za prezenty podziękował. On wie, że dziadkowie mogliby spowodować, by jego ojciec stał się na powrót dla niego tatusiem, wie także i to, że dziadkowie nigdy nie stanęli po naszej stronie. Krzysiek, jak każde dziecko, czuje czy jest coś robione z sercem, czy tylko z obowiązku.

— Co dwa miesiące jeżdżę do Warszawy na badania kontrolne. Niestety, ktoś musi mnie tam zawozić. Mój mąż nigdy ze mną nie jeździł. A pierwszy raz, kiedy jechałam by się dowiedzieć najgorszego, kiedy czułam w sobie ów nieopuszczający mnie ciężar, przeżywałam najcięższe chwile, kiedy właściwie decydowała się moje być albo nie być, prosiłam męża by pojechał ze mną, by mi pomógł. Czekalam na niego cały dzień, potem cały wieczór, wreszcie koło północy poprosiłam sąsiadkę by mnie odwoziła do Warszawy. A kiedy wróciłam, pierwsze słowa męża były: „Nie zdechłaś jeszcze?” Zresztą był pijany i lepiej było z nim nie zaczynać.

— Widzi pan, dobry człowiek nie zostawia nawet chorego psa bez opieki. A mnie zostawiono. Jeszcze nie tak dawno potrafiłam samodzielnie przejść niemal przez całe miasto, dziś nie mogę już zejść ze schodów. Co mnie czeka jutro? Biorę leki, jakoś trzymam się. No i liczę na pomoc ludzi dobrej woli, ale tych dalszych, bowiem ani sąsiedzi, ani koleżanki z pracy mną się nie interesują. Te ostatnie raczej ucieszyły się, że nie wróciłam do pracy, że nie trzeba mi przywracać opuszczonego przez mnie stanowiska. Nie, proszę pana, do mnie nie dzwoń nawet telefon. Ja już dla wielu jestem „po tamtej stronie”. A miało być kiedyś piękne, niepowtarzalne życie...



Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie

Złośliwi mają wedle Jolanty Wrońskiej twierdzić, że „w Piotrkowie najgłośniejszą syczącą gubernialną czkawkę. Bo to, panie dzieciu, pałac guberni nadawał miastu ton, jego wielczestwo gubernator zajeżdżał landem...”. Jeżeli reporter przybędzie do miasta na parę godzin, naprawdę należy mu współczuć, bo zdany jest na łaskę lub niełaskę Informatów, a ci potrafią, oj, potrafią zaprowadzić w maliny! I krzywią się te maliny tym bujniej,

taż J. Wrońskiej: „Marzenia swoją drogą, a możliwości, zwłaszcza ekonomiczne, swoją, ale tak jest przecież wszędzie”. No, właśnie. Nowe bloki wygrywają konkurencję ze starym Piotrkowem, nie pozwalają na rozwój kłopotów związanych z potrzebą odnowy Starówki. Kłopot z odbudową rozebranego w 1868 roku ratusza, „bo to ani planów, ani zachowanych rycin nie ma, a kosztuje miliardy”. Dalej — prawda, jest — pochwała, bo w Piotrkowie „w

ka godzin do miasta, może to dać, albo nie dać sobie wnówić. I to są kolejne krzaki malin... Ani słowa, że dopiero lata 1918–1939 miały tworzyć szansę nabywania kultury politycznej? Miały. Jakże wiele przeciwników — praktyk odbiegających od pięknej teorii socjalizmu — dały zwłaszcza lata sześćdziesiąte i... drugiej połowy dekady lat siedemdziesiątych. Powiaty, także grodzki-piotrkowski wyzwały się naj-

ku”, chyba że „błogie poczucie wielkości kilku ważnym osobom”. Otóż i ja tak myślałem po dożynkach 1979 roku. Ale ten stadion także jest przykładem, że reporter walczący o kulturę, nie powinien wszystkiego przeliczać na forszę. W końcu pół województwa wali na ten stadion, kiedy organizuje się „bombiaste imprezy”. I to wali z dobrej, nieprzymuszonej woli. „Circenses” w końcu czy nie potrzebne? Wszystkiego nie mierzymy miarką intelektualisty. Jest jak jest. Sam nie znoszę cyrku i dosłownie, i w przenośni. Ale nie jestem sam na tym świecie. Skoro cieszy się powodzeniem autentyczny cyrk — sprowadzajmy go. Piotrkowskie poczucie niższości wobec Łodzi... Nie znają łodzianie tego dowcipu, to służę! Spotyka się dwóch piotrkowian. Jeden powiada: jadę do Łodzi. Na to drugi: Łódź? To to miasto za lasem tusząskim?... Znow nie przesadzajmy. To takie wmawianie, jak to się niby nie lubią piotrkowian z tomaszowianami i na odwrót. Tylko ludziom to wma- wiać. Oczywiście, że nie unikniemy i to z naszej winy oskarżeń konkretnych. Np. że Łódź ogołociła Piotrków z archiwaliów, które w piotrkowskim archiwum spoczywać powinny, bo Piotrkowa dotyczy. To dla przykładu...

Złośliwcy twierdzą, że dziennikarskie tematy leżą na ulicy i wystarczy je tylko podnieść. Jest to kawałek prawdy, bowiem nasze pisanie nie kończy się na „podniesieniu tematu”. Zanim artykuł ujrzy światło dzienne, czyli trafi do czytelników, jego autor powinien wykonać kawał roboty. Roboty polegającej na zebraniu faktów, ich skonfrontowaniu, a niekiedy wyciągnięciu wniosków. Zie się dzieje, jeśli nasza robota kończy się tylko na znalezieniu atrakcyjnego tematu.

W ostatnim numerze „Odgłosów” ukazał się reportaż Jolanty Wrońskiej pt.: „Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie”, stanowiący próbę spojrzenia na współczesne miasto, jego problemy i tradycje. Temat to niezwykle interesujący i podejmowany w ostatnich latach nie tylko przez dziennikarzy.

Jolanta Wrońska patrzy w tej publikacji na Piotrków oczyma

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

Reportaż pełen malin

Im reporter bardziej kontent z siebie niż doświadczony.

„Naprawdę było tak: reprezentacyjna ulica, przy której pysznił się pałac gubernialny (dziś siedziba władz wojewódzkich)...”. Otóż, naprawdę było inaczej. Pałac gubernialny znajdował się nie przy tej reprezentacyjnej ulicy zwanej wtedy Petersburską, później Kaliską, a dziś Słowackiego, a przy przecznicy zwanej Gubernatorską, a dziś Sienkiewicza, w budynku stojącym do dziś, wcale nie okazałym i mieszczącym Pomaturalne Studium Wychowania Przedшкольного. Gubernia się już dobrze kończyła, kiedy u schyłku pierwszej dziesiątki XX wieku odano „pysznący się pałac”, dziś rzeczywiście stanowiący siedzibę władz wojewódzkich, sądownictwa, bo też dla sądownictwa gmach ten został wzniesiony. Ale, powiedzmy, że detale to historyczne, choć „detale” to reportaży J. Wrońskiej pt. „Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie” („Odgłosy” nr 9 z 4 czerwca br.) nie wzmocnia.

Czy — to ważniejsze — że piotrkowianie AD 1922 żyją „czkawką gubernialną”? Taki odważny nie byłbym, mieszkając w tym mieście z przerwami od lat kilkudziesięciu. I nie obawa przed kimś tu decyduje, a poszanowanie realiów i historycznych, i socjologicznych, współczesnych. Ale może wystarczy wpaść do Piotrkowa, jak w tuwimowskich strofach, „na dzień do Tomaszowa”, by już wszystko wiedzieć, może?

Padły bomby we wrześniu 1939 roku na najbliższy od ciekaw piotrkowski secesyjny i placu po pięciu zburzonych kamienicach nie zabudowano, zakładając skwer. „Te wyrwy nie zależą — pisze J. Wrońska — uznali piotrkowianie za swoją największą krzywdę. I tak już zostało... Krzywda to symbol miasta... i coś w tym jest”. Dalej autorka reportażu dowodzi, iż „miłośnicy miasta, i regionu twierdzą, że Piotrków ma nie tylko znakomitą, lecz i kipiącą teraźniejszość. Mnóstwo imprez kulturalnych, konkursy orkiestr, poezji” etc. Wylicza reporterka to wszystko, czym chwala się miłośnicy miasta.

I znów pytanie: z jakimi to miłośnikami miasta Piotrkowa J. Wrońska rozmawiała? Traf chciał, że ustawiła ich sobie, mimo woli, spośród samych bezkrytycznych chwalców? A tymczasem moi znajomi z prężnego, a także, Towarzystwa Przyjaciół Piotrkowa — mogą cytować nazwiska — wcale tak bezkrytyczni nie są, nie pekażą z samouwielbienia. Oni nie wyliczają litani sukcesów, a robią co się da zrobić. By np. przy brakach bristołu, farb i kredek jak najbardziej nadal popularny był od wielu, wielu lat organizowany konkurs plastyczny dzieci i młodzieży „Mój Piotrków”, którego laureaci, a wychowankowie Agnieszki Hillnicz Kłotkiewicz więcej medali w Danii zdobyli, niż się dzieciom osiemnastowiecznej Łodzi śniło. Ale, przepraszam, to żaden „wytyk” wobec mojej, także ulubionej Łodzi. Każde miasto ma swój urok. Mądrych znam wszędzie tam, gdzie mi się zdarzyło być w ciągu połowy wieku życia, głupków i to jakich, również.

Tak myślę: co odkrywczego jest w dalszym akapicie repor-

ogóle chce się komuś robić coś dla miasta...”. I znów krzywią się maliny. Służę, choć nie jestem specjalistą, szychami i rysunkami rozebranego ratusza. Fundamenty? Proszę, „rekonstrukcja fundamentów ratusza i etapów budowy”. Według Ryszarda Mazurkowskiego i Andrzeja Nowakowskiego, „Dzieje Ratusza Trybunalskiego w świetle wykopalisk” (Gazeta Ziemi Piotrkowskiej, r. 1965). A w pracy naukowej Kazimierza Głowackiego pt. „Zabudowa Rynku w Piotrkowie Trybunalskim w świetle źródeł archiwalnych” (Kwartalnik Architektury i Urbanistyki, t. XXIII r. 1978, z. 4), są ryciny z roku 1844 i 1846 „Zabytków Starożytności w Guberni Warszawskiej”, a i rysunek nie byłby jakiegoś historyka polskiego, bo Tadeusza Korzonę z roku 1868, kiedy to nie mógł on zamieszkać w Warszawie i w Piotrkowie przebywał „na zesłaniu” (to ostatnie sformułowanie może J. Wrońskiej posłużyć jako atut na dziś, niechaj...), Są te oryginalne ryciny w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. W pracy Głowackiego jest... plan ratusza, a także!

Po punkcie widzenia bezkrytycznych miłośników miasta przedstawia autorka reportażu inny. „Jest i drugi punkt widzenia. Prześmiewczy, acz nie bez odrobiny życzliwości, wytykają mieszczkański sposób myślenia tzw. ogółu. I panuje w Piotrkowie taki zadowolony z siebie, gnuśny bezruch. Kąśliwie głoszą, że piotrkowian rusza tylko Wielka Akcja, jakiejś dożynki ogólnopolskie, jakiejś mistrzostwa świata szybowcowe, albo coś w tym guście. W antrakcie panuje cisza. Był ongiś wspaniały klub młodzieżowy „Płonica u Bony”, dziś niszczony, zupełnie nie wykorzystany...”

Patrycjuszowska kamienica, w której zabójcy mieli szukać skarbów królowej Bony, przekazana parę lat temu (dopiero, nie ongiś) młodzieży, nigdy ze wspaniałością nie miała niczego wspólnego, a to z tego powodu, iż ZSMP nie przejął np. od ZMS umiejętności organizatorskiej roboty w dziedzinie kultury (przynajmniej w Piotrkowie!), raczej wzory działań pozorynych i efekciarskich i nie ZSMP za to winić. A ów „zadowolony z siebie gnuśny bezruch”?

Jestem zdania, że Jolanta Wrońska... nieco późno w swoim reportażu zaczęła uogólniać, dopiero pod koniec. Dobrze by to było, gdyby wcześniej nie było zbyt wiele tych „krzewów malinowych”. W wiksekcji „gnuśnego bezruchu” dokonuje reporterka jednak na Piotrkowie — mieście nie lepszym i nie gorszym, nie na Księżycu położonym. A może dobry był obiekt?

„Okres intensywnej industrializacji przyniósł miastu napięcie ludzi do przemysłu...”. Przyszli ze wsi „skwapliwie przyjmowali styl gubernialny, z całym dobrodziejstwem inwentarza uciążliwi klimat, nie wnosząc świeżego wiatru” — konstatuje reporterka „Odgłosów”.

A fige! Bo bardzo dawno nie ma w Piotrkowie żadnego „stylu gubernialnego”, a o mitach jakoby były rzeczywistością, mogą jedynie mówić znachorzy determinanci społecznych, a reporter, który wpadł na kil-

bardziej prężnych sił (patrz: prężne koła piotrkowian w Warszawie, Łodzi i na Wybrzeżu). Pozostałych co drugi przedstawiciel „powiatowo-książęcej” władzy ustawiał tylko na odbiór — słuchanie. To trzeba widzieć, a nie etykietę sprzed osiemdziesięciu, stu lat.

Okres intensywnej industrializacji... Przybyszów nie interesowała gubernialna, ani trybunalska, ani też piastowska przeszłość Piotrkowa. I nie chodzi wcale tylko o prządkę z „Sigmatexu” pochodzącą spod Przygłowa czy Parzniewic, ani też o tokarza pracującego w „Piomie” i mieszkającego na dziesiątym piętrze Osiedla 35-lecia PRL, a pochodzącego spod Gorzkowic czy Bab. Ta „starożytność” nie interesuje statystycznego urzędnika wojewódzkiego i mieścowego już i jeszcze dojeżdżającego z Wielkiej Łodzi — pana doktora, pana i towarzysza magistrą ekonomii i prawa administracyjnego. Przytaczając ich większość interesowało i interesuje urzędzenie się najzupełniej utylitarne, „znaneczniowe” („znaczące, więc jestem” w odróżnieniu od „myśle, więc jestem”). „Babrzący się” w kulturze — to także dziwaczne maniaki!

I dlatego dostrzegam w analizie reporterki J. Wrońskiej strzelanie nie do tego celu, retorykę, a nie anatomię modelu nieuczestniczenia w kulturze, w rzeczywistości organizowanych koncertach w Muzeum Okręgowym w zamku królewskim, w WDK, czy w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej. Przykład? Najnowszy. W polowie maja w Instytucie Kształcenia Nauczycieli Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza zorganizowało imprezę poświęconą życiu i dziełu Karola Szymanowskiego. Zaczęło się od przepięknego nagrania „Stabat Mater”, później zaledwie przez pół godziny mgr Zygmunt Kowalski bardzo ciekawie mówił o Szymanowskim. Studenci filii WSP (stacjonarni w tym roku akademickim po raz pierwszy w Piotrkowie) i... żaden z nich nie raczył spędzić tej godzinki z Szymanowskim! Auditorium stanowiło pięcioro dojrzałych piotrkowian, członków Towarzystwa Literackiego. Pocięcha: w innym nie-pogubernialnym i niepokasztańskim mieście polskim (czy tylko!) się to zdarza i przyczyna tego zjawiska, smutna przecież, tkwi w braku pracy z ludźmi, tu: z młodzieżą wczorajszych szkół średnich i podstawowych Jędrzejowa i Ciechanowa, Opoczna i... Piotrkowa też.

„Kultura istnieje w życiu zbiorowym o tyle, o ile ma odbiorców” To J. Wrońska. Ano zgadza się. Akapit wyżej to potwierdza. „Nawyki obcowania z kulturą, potrzebę piękną i aktywności kształtuje się powoli i z oporami” — to znów J. Wrońska. I znów zgoda. Dotyczy to, jak powiedzieliśmy, Piotrkowa, dotyczy Łodzi, Krakowa, a Warszawy to niby nie!?

Krytykuje autorka reportażu „Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie” „žadęcia wojewódzkie”, tak charakterystyczne w latach 1975–80, również w Piotrkowie. Wybrała ograny przykład: stadion sportowy „nie dający, poza chwilowym, żadnego długotrwałego użyt-

Krzywda czy...?

osoby zawiedziona, która w mieście tym była raz, może dwa, i to chyba wiele lat temu, i stąd zapewne jej wnioski mają niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Piotrków nigdy nie posiadał gubernatorskiego pałacu, nie było go więc i przy ul. Słowackiego. Dzisiejsza siedziba władz wojewódzkich od początku należała do sądu (gwoździści gubernator piotrkowski urzędował w bardzo skromnym budynku przy dzisiejszej ulicy Sienkiewicza). Czy o rewaloryzacji miasta nadal się tylko dyskutuje? Nie, są już plany i wiaściwie, gdyby były pieniądze, już jutro mogłyby ruszyć roboty. Zresztą i w tym miejscu trzeba dodać, że prace przy ratowaniu piotrkowskiej Starówki trwają. Wystarczy przejść się ul. Farną, stanąć pod murami miasta, gdzie powstaje ciepłociąg, obejrzeć badania archeologiczne przy ul. Piąrkowskiej. To wszystko za mało, jak na potrzeby miasta, ale trzeba być ślepcem, by tego nie widzieć. Czy w Piotrkowie panuje „gnuśny bezruch”, czy prawdą jest, że „piotrkowian rusza tylko Wielka Akcja, jakiejś dożynki ogólnopolskie, jakiejś mistrzostwa świata śmigłowców, albo coś w tym guście”? Nie, stanowczo nie. Faktycznie, przez kilka lat trwały tu obchody 400-lecia utworzenia Trybunału Koronnego, które nie zaowocowały stadionem, a solidną porcją wiedzy o przeszłości nie tylko trybunalskiego grodu, ściągając do miasta luminary nauki polskiej, zaangażowały młodzież z różnych stron kraju, a nawet obokrajowców. A przecież tymi spracami żyło całe miasto. Takich przykładów mógłbym przytoczyć wiele.

O „sporze kompetencyjnym między miastem a województwem” w minionym okresie mówiono także zbyt często, przejawiając i wyolbrzymiając problem. Gdzie obecnie powstaje najczęściej mieszkań — bynajmniej nie w Piotrkowie gdzie najczęściej jest nowych placówek gastronomicznych i usługowych...? Niektórzy odpowiedź znają od lat taką samą, a przecież liczyć się powinny fakty, znajomość spraw, o których się pisze. Świat się zmienia i to, co było prawdziwe przed kilkoma laty, dziś może wyglądać zupełnie inaczej. W Piotrkowie też się sporo zmieniło.

Jolanta Wrońska sugeruje, że miastu i jego mieszkańcom w ostatnich latach wyrządzono i nadal się wyrządza sporo krzywdy. Jest to bzdura. O żadnej krzywdzie nie może być mowy. Chyba, że o tej, jaką sobie wyrządziła autorka reportażu.

I na zakończenie. W jednym z ostatnich numerów „Głosu Robotniczego” zamieściliśmy nadeszaną przez zaprzyjaźnioną z nami tygodnik „Odgłosy” zapowiedź nowego numeru. Taką zapowiedź zamieszcza się na odpowiedzialność danego pisma, ponieważ nie ma możliwości wcześniejszego przeczytania całego numeru tygodnika, nim opuści drukarnię.

R. PORADOWSKI



Piotrków — Stary Rynek

Foto: M. Zajdler

„Toż służę ludziom i po śmieci...”

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Było późne popołudnie. Po nieznośnie upalnym dniu słoneczna, rozżarzona kula zaczęła wreszcie chylić się nad widnokresem. Przeświecała jeszcze jaskrawo przez korony dorodnych drzew, w cieniu których spiekota nie była tak dokuczliwa.

Szliśmy wolno, spacerem. Żwir monotonnie chrząścił pod nogami. W bocznej alejce, w którą nieco wcześniej zobaczyliśmy z głównego traktu, panował spokój i cisza, stare klony dawały przyjemny cień. — Prawda jak tu pięknie? — spytał pan Józef, wykonując ręką nieokreślony, półkolisty gest. Mimo nadal przejmującego gorąca był w ciemnym garniturze, zapiętym. Poza tym biała koszula, krawaty. Przysiadł, może trochę zbyt skwapliwie. Milcząc szliśmy dalej, choć zerkał na mnie co pewien czas lekko ironicznym spojrzeniem spod przymrużonych powiek. W tym nieokreślonym wieku, kiedy można mieć i „czterdziestkę” i szósty krzyżyk na karku, ogorzały, łagodnie uśmiechnięty, wrecz elegancki w tej swojej ciemnej „wełnie z elana”. A dookoła skrzyżły, bielili się w słońcu krzyże, pomniki, obeliski, nagrobne płyty...

— Wie pan, zawsze wrażenie robił na mnie sam fenomen śmierci — głos miał łagodny, cichy, zawodowego żalobnika. Tak, urodzenie dziecka jest pod każdym względem niezwykłe, z punktu widzenia biologicznego, społecznego, rodziny, fascynująca rola kobiety etcetera. Jest jednak jakiś element oczekiwania, więc — planowania, naszego wpływu na samo zjawisko. Śmierć nie wybiera. Mądry czy głupi, stary czy młody, biedny czy bogaty. Śmierć idzie i pracuje, pracuje... — pan Józef wykonał dość niesamowity w tej scenie gest koszenia. — Toteż zawsze śmierć, zgon, pogrzeb znajdowały się w takiej otoczce strachu, naszej bojaźni, a także zupełnie irracjonalnych mitów i opowieści. Zaraz, zaraz, to chyba Kant powiedział „Człowiek rodzi się żeby umrzeć”. Ale człowiek boi się, nie chce umierać, trzyma się tego życia jak długo może. I nigdy na dobrą sprawę nie wie, kiedy nadejdzie jego kres. To przecież niezwykle, fascynujące. A skąd powszechne przekonanie o życiu pozagrobowym? To nie tylko religijne uzasadnienia. Nie chcąc fizycznie umrzeć, stwarzamy sobie mit, chcemy te miesiące, lata kontynuować dalej, przedłużyć...

Z ławeczki obok dużego, kamiennego grobowca, strojnego w metalowe gązory i łańcuchy oderwała się drobna postać. Pan Józef przepaszając wymownym gestem ręką przystanął z kobietą na uboczu. Docierały do mnie tylko strzępy szepcanej dyskretnie wymiany zdań: „tak, ale właściwie przepisy nie pozwalają... będą wdzięczna... dla mnie nie ma tu miejsca... Wreszcie kobieta wyraźnie udobruchana, zadowolona, podreptała na swoją ławeczkę. Statecznym krokiem ruszyliśmy dalej.

Otam w głębi — mój przewodnik wskazał na usytuowany w głębi, czarno-złoty w tonacji od lśniącego płyt i wrytych napisów grób — mieliśmy nie tak dawno nieprzyjemną historię. Chodziło o poruszenie zwłok — zerkał jakieś zrobiło to na mnie wrażenie. Niestety, wandalizm, złodziejstwo, ludzi bez czci i wiary nie brakuje; bodaj w trzy miesiące po pogrzebie, w nocy odsunęli te płyty, dostali się do wnętrza, na dół, zjedli wieko, szukali pewnie jakiejś biżuterii. To bardzo nieprzyjemne historie — milicja, prokuratura, no i wstyd przed rodziną, w końcu ja tu dbam o spokój wszystkich. Rozczuliła, pamiętam mnie i grabarzy taka młoda pani prokurator, która przerażona stała pięć metrów od mogiły, tyłem i blada pytała się mnie „No i co tam jest?”

— Ale za setki czy tysiące lat nas też może ktoś odkopie. Bo przecież cała nasza wiedza o przodkach, ich obyczajach, kulturze, nalogach, wręcz stopniu ucłowiecznienia bierze się z wykopalisk, z cmentarzy, grzebalisk właśnie. Z piramid egipskich i jakichś prymitywnych grobów skrzynekowych również. A co my zostawimy po sobie? Co na podstawie choćby sposobu grzebania będą archeolodzy w przyszłości wiedzieli o naszej kulturze? Nic, jak sądzę.

— Może i jestem, jak mówią — niedzisiejszy, ale wie pan, uważam, że praca tutaj to też rodzaj powołania, służby społecznej. To nie kara, czy przepaszanie, chałtura, jak niektórzy twierdzą. Przez wiele lat byłem działaczem społecznym z prawdziwego zdarzenia, a dziś — dalej, jak mogę, służę ludziom. Po śmierci.

Kierownik przerwał na chwilę i zwręcznie wśliznął się między obliczonego z jednej strony anioła a elegancką płytę z piaskowca przyozdobioną w wryte nań nazwisko i datę urodzin tylko. Pan Józef chwilę brodził w trawie porastającej niewielki kwadrat ziemi, zapewne jakieś zapomniane, niczyje już mogiły, mierzył odległość krokami, coś rozpamiętywał, planował.

— A jak pan myśli cmentarz żyje czy nie? — spytał po chwili z figlarnym błyskiem w oku, strzepując z rękawa resztki anielskich okruchów. No, tak, owszem, można na moje gospodarstwo spojrzeć jako na element miejskiej infrastruktury, element planowej gospodarki, jak mówicie — zadrzewienia miasta. A las żyje? No właśnie. Cmentarz także — pamięcią ludzką, życiem tych, którzy przychodzą odwiedzać tu swych bliskich. Żyje także nocą, gdy stali jego mieszkańcy spotykają się na cotygodniowego pokera... — pan Józef zachichotał, zapraszając na dalszą przechadzkę.

— Oczywiście, można się uodpornić. Ludzie, dla których grzebanie kogoś jest, że tak powiem, chlebem codziennym, którzy na co dzień obcuja ze śmiercią, takim jej przejawem, wykonują swój zawód dosyć obojętnie, bez emocjonalnego podejsia. Ale już diametralnie się zmieniają, gdy zmarły jest kimś bliskim. Jednak te głęboko ludzkie cechy w człowieku pozostają.

— No, wie pan, praca nie jest „lekką, łatwą i przyjemną”, choć o ile wiem, na żadnym cmentarzu nie ma kłopotów ze skompletowaniem ekipy grabarzy — tak na wyznaniowych, jak i komunalnych. Mity o słonych napiwkach, choć to na pewno jest częścią prawdy — robią swoje. Z kadry nie ma kłopotów, kolega kolegę wciąga, często na jedno miejsce 2-3 czeka. Prawie konkursowe zasady przyjęcia, jak na studia...

— Ale robota specyficzna, trudna, bo to i kontakt z ludźmi, często zdenerwowanymi, załamany, bywa — rozhisteryzowanymi. Tak, zdarzają się i takie przypadki, które później pod sensacyjnymi nagłówkami trafiają do was, do gazet. „Wpadł do mogiły nietrzeźwy grabarz” — bywało i tak, choć to przypadki sporadyczne. Ale nie upilnuje pan, by sobie gdzieś ukradkiem nie „golił”? Bo, jak mówię, praca specyficzna, zwłaszcza latem, w czasie takich upałów. No, różne historie mi opowiadano, choćby taka, że trzech żalobników noszących trumnę, też lekko „na bańce” skreśliło w bocznej alejkę, a jeden poważnie, poszedł sam prosto...

— Tak, ale zamiana zwłok to już ani nasza wina, ani znów tak częste przypadki. Zwykle w prosektorium zamienia kartki, potem w kaplicy otwierają trumnę, a rodzina w krzyk: „Iгнаś, co oni z ciebie zrobili!”

Z przeciwnej strony powoli zbliżyły się dwie kobiety ubrane stosownie do miejsca, ze smutnym bukietem białych kalli. Pracownicy odczytywali napisy na płytach i tabliczkach, wyraźnie nie mogąc trafić do „swojego” grobu. Pan Józef przyspieszył nieco. — Kogo szanowne panie szukają, może będę mógł pomóc? — zaoferował. — Grób rodziny... skich? Moment, niech się zastanowią. Aha, pójda panie cały czas prosto, aż do charakterystycznego, dużego pomnika z czarnego marmuru z wykutą płaczącą kobietą, potem w lewo, cztery przecznice, tam będzie pompa i to chyba tam, druga czy trzecia kwatery.

— Tracę na to masę czasu, to fakt, ale pamiętam bardzo dużo kwater; wzrokowcem jestem, a więc i nazwisko utkwii w pamięci i mogiła charakterystyczna. I to zarówno z tzw. grobów zasłużonych jak i tych najbiedniejszych. A, to wie pan, największe kłopoty z tym są. Bo pogrzeb, to nie tylko oddanie zmarłemu ostatniej posługi, czci, szacunku, to przecież także swoista prezentacja przed dalszą rodziną i znajomymi jaki to ja jestem dobry, szlachetny, kochający. Z drugiej strony, w obliczu śmierci wychodzi — jakby to powiedzieć — z członków rodziny prawdziwy światopogląd, czyli inaczej mówiąc, wybrać trzeba, w jakim obrządku ma zmarły być pochowany. Nacisk rodziny jest często bardzo duży i najbliżsi ulegają. O, widzi pan ten zadany grób z małym klombem pośrodku? Nazwisko może nie panu nie powie, ale ja pamiętam, że ta tabliczka z napisem „Spoczywa w Bogu” pojawiła się tu na drugi dzień po pogrzebie. Poprzedniego dnia tkwiła inna, z wykalgrowanym „Cześć jego pamięci”. Z mniejszymi i większymi dostojnikami różnej maści — to już reguła: ma być „z pompą”, ludzie wygoleni, elegancko, w rakawiczkach. Ale telefony bez przerwy z różnymi decyzjami: ma być z księdzem, za pięć minut — bez księdza, organy czy orkiestra, z krzyżem na trumnie, a po chwili — nie, zdjąć. A w końcu rodzina, zwykle wierząca i tak postawi na swoim.

— Tak, u mnie miejsce już praktycznie nie ma, niewielką ilość udaje się jeszcze wygosparować po starych mogiłach, niczych, zaniedbanych, które wolno mi likwidować najwcześniej po 20 latach. Nie, nie — o cenach, pieniądźch mi nie mów. Nie godzi się w tym miejscu — pan Józef jakby lekko się obruszył. Delikatnie zmieniłem temat.

— Na cmentarzu Z. jest sporo miejsc, no, ale to niemal nowy dzwiczny teren. Tylko smutny, drzewka tam takie mikre, za to gruntu dobry, suchutko. Proszę pana, to pan ludzi nie zna. A jakie wymagania! Jak ma pieniądze to jej się wydaje, że na cmentarzu wszystko załatwi: kobieciaka młoda, zdrowa, choćby wczoraj — ja wiem, czterdziestki nie miała i chce miejsce kupić. Ale taki: przy bramie nie, „bo ludzie blisko chodzą”, pod murem nie, „bo hałas z ulicy”, wskazują inne — też niedobre, bo „w dołku, to mi mokro będzie”. Najchętniej by wzięła „na górze gdzieś, między brzojami”. Ale skąd tu akurat taką kwatery wytrzasnąć?

No, taka to już nasza mentalność: często jeden z drugim własnego pokoju nie ma, w podartych kapciach chodzi, a byś pan zobaczył, jakie tu wille sobie za życia wystawili. Płyty, marmury, filarki, anielki. Wszystko gotowe: miejsce na datę, znicze, ławeczka dla potomnych, wazon na kwiaty. Tylko umierać. Tragiczne to może być śmieścze — ale prawdziwe. Choć ja tam dla ludzkich ułomności czy słabości mam zrozumienie. Coś panu pokażę...

Prowadził mnie na skróty, między krzyżami, gdzie dwóch ludzi rozebranych do pasa, spoczonych, prętwicie draży kwadratowy dół. Przecinamy jeszcze dwie alejki. — O, niech pan zerkanie — wskazuje palcem, ta pani! — mniejsza o nazwisko, ale chciałby pan tak mieszkać, co? Zza drzewa zerkał we wskazanym kierunku. Kobieta w siłę wieku pracownicie wyrwała wątle źdźbła trawy, które śmiały wyrosnąć wśród białych łach kamyneków okalających potężny „bunkier”, grobowiec, w którym może przebywać na raz chyba kilkanaście osób. — Patrz pan, zaczęła tę budowę jeszcze za mojego poprzednika, wiele lat temu, samotna, pani magister, ciągle narzeka, że nie ma pieniędzy, a tu już „utopiła” ze dwa „Mercedesy” — ocenia z dziwną w tym kontekście fachowością pan Józef.

— Ale pan uparty z tymi cenami — docina mi, gdy delikatnie napomykam o znanych mi przypadkach kupna kwatery. — Fakt, są cmentarze, gdzie obowiązują ceny pięciocyfrowe. No, tak, w walutach obcych też może być. Z rok temu koleżka ładny kawałek grosza przeszedł koło nosa, bo z ludźmi trzeba umiejeźnić, wczuć się w ich sytuację i pragnienia. Staszkiwi, znaczy temu koleżce, trafiła się klientka bodaj z Kanady, która po wielu latach wróciła do kraju i pragnęła właśnie u niego zapewnić sobie miejsce po śmierci. Wybrzydzała ponoć strasznie, tak jak panu mówilem, żadne miejsce jej nie pasowało. Gdy wreszcie Staszek zaproponował jej ładną kwatery, ocienioną, suchą, daleko od ruchliwego „centrum”, to ona, że „tak pusto dookoła i jak to — sama ma leżeć?”. A kolega poważnie, bo już to planował na przyszłość: „to żaden kłopot, dzieciaczkami się naokoło obrzuci i będzie ładnie”. Niesamowicie, pan mówi?

— Ale z tymi zarobkami to są często mity, opowieści. Dlaczego pan na przykład nie napisze o zarobkach ludzi z prosektorium, w szpitalach choćby. Oczywiście, niewdzięczna to rola, zwłaszcza dla kogoś spoza „branży”, ale to są dopiero ludzie bez-

względni. A trudno o taką robotę i nie slyszalem, by był gdzieś jakiś wacat. Bo to czysty interes. Nie wiem jak obecnie, ale parę miesięcy temu mi opowiadano, że „taryfa” wynosiła dwa tysiące złotych i pół litra spirytusu. Praktycznie tylko za przyodzianie nieboszczyka. A na brak pracy w prosektorium nie narzekają raczej...

— Można to nazwać „samym życiem”, ale czyjaś śmierć i związane z tym konsekwencje to przecież okazja do zarobku dla całej armii ludzi. Pomijam już sprawę miejsca na cmentarzu, ale proszę — wylicza — prosektorium, trumna, ubranie, wieńce, sam pogrzeb, karawan, grabarze, stroje dla rodziny, kwiaty, potem płyta, nagrobek itd. Przy trumnie, nad grobem — powaga, tzy, skupienie, a chwilę potem — jak to często bywa — kłótnie, kto ile zainwestował. Tacy niestety jesteśmy. Albo takie stypy. Nie był pan nigdy na takiej konsolacji, gdzie po kilku łzach na początku, puszcza się adapter i ktoś nagle wznosi toast: „No, to zdrowie wujka Gienia”. Właśnie odprowadzonego na miejsce wiecznego spoczynku...

— A biznes jest i musi być, tak jak w każdej innej dziedzinie życia. No, w tym przypadku — śmierci. A Miejskie Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych — to co to jest jak nie interes robiony na śmierci? Wiem, pracowałem tam kiedyś, wtedy nazywało się „wyraźniej” — Miejskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe, ale potem nazwę zmieniono, bo pracownikom było ponoć wstyd przed znajomymi w takiej firmie pracować. No to proszę pana, przecież to przedsiębiorstwo musi się rządzić jak każde, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, zdrowymi zasadami ekonomii. A więc taki dyrektor traktuje śmierć jako przedmiot interesu, handlu. Jak tu ceremonialnie usławić? Jaką by tu nową, ciekawą trumnę wyprodukować? Jak dać zarobić każdemu zatrudnionemu? To są problemy. I tam nie ma czasu na sentymenty. Liczą się konkreti: ile trumien się wyprodukuje. Więcej powiem — trzeba planować. Jak to co? No, ilość prawdopodobnych zgonów, a co za tym idzie — drewnianych skrzynek. A tak młie „na górze” widziane dodatkowe zadania premiowo do dodatkowa porcja trumien i dodatkowa ilość wykonanych pogrzebów. No bo innych mierników nie ma.

Ho, z trumnami to nie jest taka prosta sprawa! Mam wielu kolegów w branzy, to opowiadają jak klienci wybrzydząją w punktach usługowych, a to kolor nie taki, a to debina jakaś „podrabiana”, falbanki wymięte. A przecież przedsiębiorstwo ma własną szwalnię. No jak to: poduszka pod głowę, prześcieradło, dwie kołderki, a na spód — wiórki, żeby miękko było. Temat niby wstydliwy, delikatny, ale obaj pod takimi kołderkami kiedyś spocniemy.

— A trumna wcale nie musi być typowa, jak się u nas mówi „szesnastka” czy „siedemnastka”. Jak sobie klient życzy może dostać na przykład z szybkami z góry i z boku. Albo typ francuski — taki kuferek prostokątny, bardzo ładny. To dla „Bongo” głównie robiliśmy. Nie slyszal pan o „bajo bongo” jak nazywaliśmy tę dochodową firmę między sobą? Jest to Biuro Opieki nad Grobami Obeokrajowców, stąd ten skrót, trochę niezręczny, to fakt. No więc oni zajmują się wyliczaniem przewozem nieboszczyków z kraju do kraju, za opłatą w „twardy” walucie oczywiście. Zawsze jest kilka takich przypadków w miesiącu. Wszystko, na zlecenie zamawiającego, załatwia przedsiębiorstwo pogrzebowe trumnę, ubiór, opłatę, samochód. Do środka daje się trumnę metalową, to ze względów sanitarnych, taki obowiązek obejmuje zdaje się trasy powyżej 130 kilometrów. W obecności celnika (bądź co bądź jest to zagraniczna przesyłka...) trumnę się lutuje, do samochodu zabiera się także przedstawiciel „Bongo” z delegacją i dietami i — w świat. O, pamiętam, że nasi kierowcy to zwiedzili całą Europę — od Skandynawii do Hiszpanii i granic Azji. Narzekali tylko, że samochody nam wstyd przynoszą. Za granicą to specjalnie „Mercedesy” czy „Renaulty” produkują, a u nas była to zwykle przerobiona „Nysa”. Dopiero chyba dwa lata temu firma zdobyła trzydrzwiowego „Flata”, fakiego przedłożonego, z firankami. To są atrakcyjne wyjazdy, czasem rodzina zmarłego jest wdzięczna to i kierowcy parę groszy „skapnie”. Bo „Bongo” to przedsiębiorstwo już w złotychkach plać.

— A jeśli już o pieniądźch mowa, to niech pan spróbuje porozmawiać z takimi co się ogłaszają w gazetach: „Odstąpię miejsce na cmentarzu”. Tam pan dopiero uslyszysz kwoty. A zrobić można na wszystkim. Smutne to — ale także na kradzieżach płytach, świeżych kwiatkach z grobów, czy nawet opakowaniach po zniczach. Pan Józef wskazuje na starszkę, która przykucnęła pod drzewem i spokojnie čmi papieroska. Na nasz widok szybko odgasa „peta” i niemal biegiem rzuca się do konewki z wodą. Po chwili z uśmiechem podlewała już kolejne mogiły.

— Widzi pan? Opiekują się grobami, podlewają kwiaty, sadzą nowe, pielęgnują, myją płyty. Choć ja wiem, że to często fikcja, ruszają do pracy, gdy ja przechodzę albo zjawi się ktoś z rodziny zmarłego. A pieniądze biorą.

Zrobiło się późno, cmentarz powoli pustoszał, od strony bramy dobiegał słumiony gwar rozmów osób opuszczających swych zmarłych. Przyjdą tu jutro, inni za tydzień, jeszcze inni dopiero w Zadzuski. Zagadnałem mojego przewodnika o jeszcze inne sprawy, nieodłącznie w naszej kulturze, obyczajowości związane z cmentarzem.

Duchy? Strzygi? Otwierające się po północy groby? No, tak, to jest właśnie ta irracjonalna otoczka, w jaką lata, wieki całe obrastał temat śmierci, życia pozagrobowego. Widzi pan, jedni się tak boją, że na cmentarzu zjawiają się tylko w sytuacjach absolutnie koniecznych, ale chyba dwa dni temu, tam, w tej zapuszczonej, zapomnianej części spotkałem — w południe dziewczynę, która przyszła się... popalać. Nie widziała w tym nic zdroznego, ani nic jej nie przerażało. A że spokój, cisza i — choć to dziwnie brzmi — odludzie, to i stanki zdjął na słońcu...

— A straszło chyba że dwa lata temu na cmentarzu w S. I to parę osób widziało, jak nocą włóczy się alekiami czarna dama, szlochając i jęcząc. Po paru tygodniach koleżdy z tamtego rejonu wyjaśnił całą historię. Do zmarłej w młodym wieku córki przychodziła na grób niemal codziennie jej matka, zrozpaczona, zapamiętała w bólu po stracie jedynego dziecka. Tragedia dotknęła ją do tego stopnia, że — zdarzało się — zatracała poczucie czasu i plaćąc, późno opuszczała cmentarz. Oł, cała tajemnica.

Było już niemal ciemno, lecz mój rozmówca jakoś nie zmierztał jeszcze w kierunku coraz bardziej odległej bramy. Drzewa, dające parę godzin wcześniej zbawczy cień, teraz sprawiły, że w pustych już alejkach było jeszcze bardziej ponuro. Szliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. — A pan w czasie tych swoich wędrówek po cmentarzu w ogóle się nie boi? — spytałem pana Józefa, którego twarz białała dziwnie w zapadającym zmroku. — Za życia to się trochę bałem, ale teraz już nie... — odrzekł cicho, zaśmiał się jakoś niesamowicie i zniknął mi między czerniejącymi wokół mogiłami. Rzucałem się biegiem do bramy...



Wacław Kondek — Litografia — 1975

1 Zdarzenia i zwierzenia

Rozważania sprzed pół wieku

propozycja sygnowana jest także biało-czerwona flaga, tyle że nieraz podpaloną i zdeptaną.

Dwie pierwsze propozycje wystarczająco ośmieszają Czas. Co natomiast zrobimy z trzecią? Czy ów nieszczęsny ikaryzm, o którym pisał międzywojenny działacz gospodarczy pół wieku temu będzie nadal wypuszczany w maliny?

Naprawdę nie wiem. Bo oto dociera do mnie sprzed pół wieku broszura polityka, który powołując się na myśliciela z jeszcze starszej epoki — formuluje opinie nadal boleśnie aktualne.

A jeśli do tego dodamy jeszcze starsze teksty Frycza Modrzewskiego? „Tragiczne zmagania XV-wiecznego myśliciela ze swoim narodem. Tragiczna ta nie — pisze Władysław Lewandowski — snuje się przecież przez wszystkie prace naszych polityków społeczników — znajdujemy ją u Modrzewskiego i u Orzechowskiego, a u Skargi myśl o ratunku upadającej Rzeczypospolitej spychanej w przepaść przez bezmyślność, egoizm, chciwość i lenistwo masy szlacheckiej, zostaje przecież napięta na najwyższy ton wysiłku ducha dla walki z duszami obywateli w celu odwrócenia katastrofy — niestety, na próżno”.

Czytam broszurkę mądrego działacza państwowego sprzed pół wieku i doprawdy nie wiem czy skazani jesteśmy przez los na ciągłe wyrzekania na nasze wady — czy jest to nieodłączny element naszej historii, od którego naprawdę nie ma ucieczki?

JERZY WILMAŃSKI

2

Spacer po sklepach

Najczęściej gubię długopisy, ale i inne drobiazgi dość często znikają mi w niewytłumaczalnym sposobie. Od kilku miesięcy do rzeczy zagrożonych takim zniknięciem doszły kartki zapotrzebowania. Kupiłam specjalny portfelik, trzymany zawsze w oddzielnej kieszeni torby, ale to nie uwalnia od niepokoju, że któregoś dnia ją i moja rodzina przez cały miesiąc pozbawieni będziemy cukru, masy, mydła, itd. Najrozsądniejszym wyjściem wydało mi się więc wykupywanie przydziałów natychmiast po pierwszym. Tak też robię i system ten ma co najmniej dwie zalety: nie obawiam się o zgubienie kartek, a ponadto po dwóch dniach poświęconych na stanie w kolejce i dźwiganie ciężkich siatek (tyle bowiem zajmuje zwykłe realizacja bonów) do końca miesiąca mam względny spokój. Kupuję już tylko chleb, ser i inne łatwo dostępne produkty. Ponieważ jednak, jak wiele kobiet lubię odwiedzać sklepy, nawet te ubogie, kryzysowe, zaglądam do nich i nieraz przypadkiem udaje mi się nabyć śmietanę, skarpelki, bądź inne dobro, w poszukiwaniu którego bardziej gospodarne osoby przemierzają długie trasy i tracą wiele czasu oczekując przed sklepem na dostawę towaru. Przy okazji przyglądam się, jak pracuje handel. Nie zawsze jest to praca bez zarzutu, podobnie jak nie zawsze zasługują na pochwałę czy choćby współczucie — klienci.

W dużym sklepie ogólnospożywczym, około godz. 16, dwa stoiska nieczynne, choć towar na półkach jest. Przy trzecim, mięsno-wędliniarskim, sporo

ludzi i... awantura. Zirytowany sprzedawca gromkim głosem, wspierając się niewybrednymi epitetami, tłumaczy klientom, że szybciej sprzedawać nie może, i tak robi łaskę stercząc już 10 godzin za ladą. Dlaczego musi sam męczyć się aż tak długo, dlaczego nieczynne są stoiska obok? Wyjaśnienie okazuje się proste: część personelu oddelegowano do obsługi kiermaszu z okazji Dnia Dziecka.

Drugi duży sklep w tym samym osiedlu przez cały dzień zamknięty. Jak informuje kartka: „Z powodu wyjazdu załogi na kiermasz”. I słusznie. Wszystko dla naszych miłusińskich, a jak mama nie kupiła soli, niech się przejedzie do śródmieścia, albo na kiermasz.

Czy stać nas teraz na prawdziwe kiermasze, z odpowiednią reklamą, wystrojem i innymi, nie tylko handlowymi atrakcjami? Chyba nie. I zresztą kiermasze nie są już tak barwne i wesole jak kiedyś za czasów prosperity. Prawda, że korzystając z atmosfery festynu, jaka towarzyszyła takim imprezom, handel pozbywał się wielu zapasów, niekoniecznie atrakcyjnych towarów, dając na okrasę kilka kolorowych telewizorów i zabawek z importu. Teraz jednak pozbywać się nie ma czego i z prawdziwego kiermaszu została przeważnie tylko nazwa. Takim smutnym widokiem ogłądałam z własnego okna przez dwa dni. Pod kolorową tablicą z napisem „Kiermasz słodyczy” stał jeden stół-straganik, za nim dwie spocone i ledwo żywe od upału dziewczyny wlewały do turek po pół kilograma roztopionych na słońcu czekoladek (bez kartek), odliczały po kilka liżaków. Kolejka pęczniała. Ponad godzinne oczekiwanie w temperaturze przekraczającej 30 stopni nie odstraszało babć-staruszek ani młodych mam, pchających wózki. Protestowały tylko znużone i przegrzane dzieci, dla których właśnie ten niby-kiermasz urządzone. Dzieci nie lubią kolejek, a czy lubią je dorośli?

Zadając takie pytanie można narazić się na wymowny gest stukania palcem w czoło. Trudno lubić coś, co stanowi jedną z najgorszych uciążliwości codziennego życia. Tymczasem nie brak osób, które, choć nie przyznają się do tego, zdają się cenić taki właśnie sposób spędzania czasu. Widzę ich zwłaszcza w domach towarowych, m.in. w Centralu. Przychożą przed otwarciem. Koło południa, już obławianymi paczkami, koczują na laweczkach, jedzą wyciągnięte z toreb kanapki, popijają herbatę z termosów. Na co czekają? Na „coś” — obojętne: potrzebne czy nie. Nagle ktoś rzuca hasło: na kosmetyczne przywieźli towar. Znikają w torbach kanapki, znika oціężałość, błyskawicznie formuje się kolejka. Ekspedientki wyciągają z kartonowych pudeł szampony. „Po dwa dawać, sprawiedliwie!” — zarządza bardziej przedsiębiorca klientka. Druga kolejka tworzy się przy kasie. Z tłumu, co chwila, wydobywa się ktoś z miną zwycięzcy, trzymając dwie butelki... Taki sam szampon można kupić w małym sklepie obok lub kiosku „Ruchu”, bez kolejki. Ale to już nie będzie zdobyc. Ileż radości straci niektórzy z nas, gdy wreszcie wydobędziemy się z kryzysu — ale czy wyjdziemy z niego kochając kolejkę?

AGATA

3

Kaczor albo ohydek

Ludzie od niepomysłnych czasów gromadzą różne rzeczy. Przedmioty codziennego użyt-

ku. Przedmioty służące rozrywce, relaksowi. Przedmioty o walorach estetycznych, dzieła sztuki i niesztuki. Gromadzą najdziwniejsze kolekcje najbardziej zdumiewających rzeczy...

Jedne ułatwiają (lub utrudniają) życie. Inne uprzyjemniają je, upiększają. Jeszcze inne są wyrazem pozycji, prestiżu (jak na przykład „przodek” na ścianie lub w niektórych częściach świata — samochód). Człowiek od dawien dawna gromadził przedmioty które były symptomem jego potrzeb, ambicji, bogactwa, lub... próżności. Wśród tych wszystkich rzeczy, niepoślednie miejsce zajmowała i zajmuje pamiątka.

Kamień z Akropolu. Ramka z Zakopanego, Wieża Eiffie z Paryża jako przycisk do papieru. Główna Nefretete z Egiptu albo główka mieszczańka z Krakowa. Budda z nibyosiądku albo z porcelany, szklanka do wody z Krynicy, długopis z karykaturą De Gaulle'a albo panienkami co są bardziej lub mniej gołe...

Gdzie ktoś jedzie, do Londynu, do Kuluszek, do Paryża, do Szczawnicy tam kupuje sobie, innym pamiątkę... Na całym świecie jest to wielki biznes. Grube pieniądze. Niezliczone ilości wzorów, pomysłów, inwencji, wyobraźni, dociepu (czasami dość dziwnego, jak owe maskarony z Katedry Notre Dame, które ogłądałem w Paryżu, z ogromnymi dorobionymi fallusami, czy bawarskie kufle do piwa w kształcie... gołych tyłków i nocników — lecz co kraj to i inny obyczaj i inne poczucie humoru). Niektóre z pamiątek są rzeczywiście ładne, urocze. Inne ohydne, wulgarnie, tandetne... Drogie i tanie. Na różne kieszenie i różne gusta. Coś upamiętniają, coś komuś przypominają, są wyrazem mody albo czyjejs o kimś pamięci.

U nas też można nabyć lub dostać (na przykład z okazji jakiejś kursokonferencji albo wizyty u dyrektora) najrozsądniejsze pamiątki. Lecz u nas pamiątka to nie tylko pamiątka, taki sobie niefrasobliwy przedmiotek. Pamiątka u nas — to problem!

Dość z nich jest brzydkich. Większość — po prostu nijaka. Czasami trafi się wyjątkowa ohyda. Wystarczy zajrzeć do Cepelli, do sklepów z 1001-drobizgami, na straganą targowca. Estetom włos się jeży! A ludzie kupują. Producent i handlarz są zadowoleni. (Ja sam mam kolekcję „ciupag” z Zakopanego i muszelek plastikowych ze złotym napisem „morze nasze morze”. A co!).

Ale jak powiedziałem — estetom włos się jeży i co jakiś czas nawołują do świętej krucjaty przeciwko porcelanowym zajączkom i plastikowym Kaczorom. Bo niby rzecz się dzieje straszna — narodowi gust się paczy. Patrzą państwo! Gust się paczy...

Dziwne, że owe głosy wyrażone przez konserwatorów podnoszą się w kraju, gdzie do tej pory nie postawiono na odpowiednim poziomie wychowania estetycznego w szkołach (o ile ono tam w ogóle jest). Sam znam wypadek, jak pani nauczycielka pokazywała dzieciom w klasie reprodukcję Guerniki i Grunwaldu i mówiła, jakie jedno jest brzydkie, a drugie śliczne i jak żywe...

W kraju, gdzie wzornictwo przemysłowe traktowane było jak piąte koło u wozu, a ostatnio w ogóle zostało urwane i wyrzucone do rowu przy tej naszej drodze do „nowoczesności”...

W kraju, gdzie co rusz organizowane są jakieś konkursy (dla profesjonalistów i nieprofesjonalistów) na pamiątki regionalne i ogólnonarodowe. I gdzie wszelki ślad po planach owych konkursów ginie bezpowrotnie. Plastikowy Kaczor, laska „z gór”, wazonik z brązową polewą, wycinana z dyktu ramka na zdjęcie w osty są nie do przebiccia. Jeszcze zestaw łyżek drewnianych z wypalonym napisem „Pamiątka z Łodzi” — też chodzi.

Osobiście uważam, że młode pokolenie należy nauczyć odróżniać „ładne” od „brzydkiego”, ale w sposób nieco inny, niż owa cytowana pani nauczycielka.

Można też stworzyć i konkurencję Kaczorowi i Pszczółce Mai. Można też dać ludziom spokój i jak chcą Kaczora, to niech go sobie kupują...

Esteci niech kupują cepeliowskie lalki (o ile je dostaną).

Można by też przyjrzeć się estetycznej stronie przedmiotów produkowanych przez zakłady państwowe...

Na koniec można by zadać pytanie: kogo boli, że spełniając społeczne zapotrzebowanie, czyli wypełniając lukę w podaż, ktoś zarabia pieniądze, żyje z tego, utrzymuje rodzinę, pracowników? Kontrole nad wytwórcami Kaczorów pełni urząd finansowy. A zatem drodzy esteci — co was boli? Może własna niemożność?

Mnie tam Kaczor nie przeszkadza.

ANDRZEJ GRUN

4 Spojrzenie znad szachownicy

Wulkanu pomyśłów ciągnie dalszy

Ponieważ jestem człowiekiem kompromisowym, pogodnym i mało wymagającym, nie żądam od Prześwieconych Nabywców (nabywca — w odróżnieniu od facetów, którzy pismo otrzymują za darmo — to dziś człowiek gorąco pożądanym, dlatego traktujemy go z szacunkiem i piszemy z samych Dużych Liter) aby moich tekstów uczyli się na pamięć, bądź nawet w ogóle je czytali. Gdyby jednak komuś przyszła taka chęćka, dla ułatwienia lektury czuję się w obowiązku streścić felietonik poprzedni, w którym uzalałem się łzawo, iż liczne moje pomysły i koncepta — szczerą rozrzucane garścią — nie spotykają się niestety z życzliwym przyjęciem. A chciałbym przecież — niby wymyślony przez Gaczyńskiego Wacławowicz z książką „Wulkan Pomysłów dla Azji i Europy Polskiej Publiczności zamiast Kwiatów Ofiarowany” — być choć w czymkolwiek pożytecznym współczesnym.

To prawda — co na tych łanach wypaplała jedna z koleżanek — że usiłowałem dociec, ilu trzeba sprzedać Bonków, iżby raz na zawsze zlikwidować nasze zagraniczne zadłużenie. Prawdą jest jednak również, co owa koleżanka usiłowała zachachmęcić, że to ja także wystąpiłem z projektem wyeksportowania jednego z łódzkich teatrów, a choć zadbatem oczywiście o niezbędny przy poważnych operacjach handlowych tajemniczość, podałem nawet pewne parametry. Otóż powinien być to teatr możliwie duży (aby dużo za niego dostać), o możliwie pokazywnych deficytach (aby poczynić równe deficytowi oszczędności), nadto — gdyby się dało — śpiewający i tańczący rzadko możemy bowiem choć-

by w przybliżeniu dociec, jaki tekst i w jakim języku się śpiewa, zaś „komunikat artystyczny” w tańcu przekazywany jest poza sferą języka.

Wiem wprawdzie, iż póki co przyparzam sobie tym wyznaniem licznych wrogów, poczynając od koleżanki żurnalistki, a na śpiewających artystach kończąc, kiedy już jednak wszyscy zostaną wyeksportowani (bo koleżankę wyeksportowałbym również) i zaczną plawić się w tym zachodnim, a może nawet arabskim dobrobycie, z pewnością zmieniać o mnie zdanie, zaczną przysyłać paczki i dziękczynne widokówki...

Zamienienie kwietnika na łódzkim placu Wolności na kompleks reprezentacyjnych ogródków działkowych — też wydaje mi się pomysłem wcale na czasie. Liczne służby oplacane z kasy miasta sadzą tu co prawda z umiarkowanym zapalem kwiatki, o ileż zwawiej — nadto całkiem za darmo — krzątałby się jednak działkowicze otaczając pomnik naczelnika wieńcem starannie pielonych grządek z pietruszką, marchewką, a może nawet i smakowitymi truskawkami.

Przy lokalizacji się nie upieram, zgodziłbym się i na inną, Łódź wszelako — zresztą nie jedna Łódź tylko — do prawdy wielkim głosem woła o działki, a przybywa ich tyle, co kot napłakał, choć wszyscy niby są sprawie przychylni. I gdyby — w co nie wierzę niestety — tym mało poważnym felietonem dałoby się arcy-poważną sprawę działek zalać, byłbym gotów zainicjować zbiorckę pieniężną na gustowny pomnikczek dla odnośnego decydenta. Wszakże, przypominam, nie o decyzje tu chodzi, bo te dawno już zapadły, lecz o ich realizację.

Upomniałem się o działki, choć się na tych sprawach nie znam, bezspornym ekspertem jest tu całkiem inny Jerzy P., też dziennikarz, którego darmo błagam wszelako o artykuł, czy nawet cykl artykułów na ten temat. Zanim się Jerzy namyśli i zanim działki wyrosną, możemy się wszakże zająć inną śmiałą operacją. Otóż „Odgłosy” — jak pisałem przed tygodniem — mieszczą się w czterech pokojach z kuchnią i zamienioną na fotograficzną ciemnię łazienką. Przepisy zmieniły się ostatnio wprawdzie na niekorzystnie, ale ja jednak zapewne jakoś sprytnie obejdę, wytworny lokal podznaję — za dewizy najlepiej — a pismo zacząć redagować na korytarzu zaprzyjaźnionego „Głosu” albo i w moim mieszkaniu prywatnym.

Użyte środki lokujemy w pierwszym z brzegu interesie (jakieś znaczki, wykałaczki — obojętne) i tak z dziennikarzem przeobrażamy się z wolna w przywaciarzy, co pomijając wszystko inne jest dużo bardziej opłacalne. Rozkrecając interes nie mamy już wprawdzie czasu na zajmowanie się tygodnikiem, ale mamy forszę, więc wynajmujemy tak zwanych „murzyków”, płacimy im godnie, przeto i pismo — w przeciwnieństwie do stanu obecnego — zaczyna urocz rozkwitać.

Przez cały czas ocieramy się co prawda o kryminal, ale i to nam nie straszone, historia literatury notuje bowiem przypadki (markiz de Sade — na przykład), gdy w kryminalne pisywano rzeczy wcale potem głośne. Innymi słowy perspektywy są świetne, gdy jednak mówię: wyeksportować teatr, przekopać plac Wolności, podnając lokal, otworzyć biznes — ciągle słyszę „nie”, „nie” i „nie”. To droga, kotki, to my nigdzie nie dojdziemy, mogłbym — już jako milioner — leżeć na tapczanie wachlowany przez hurysy, a tymczasem siedzę przy biurku i piszę byle jaki felieton. A zorientowawszy się, że nie ma on żadnego związku z szachami, dopisuję te oto słowa: najlepszy polski szachista, wielokrotny olimpijczyk Rubin-stein, dokonaj żywota w szpitalu dla obłąkanych. Co i mnie pewno czeka.

JERZY P.

Dokończenie ze strony 1

Strzelec ulega sugestii i wali oczywiście w przeciwny róg, ale tam czekają już na piłkę mocarne, triumfalnie wyciągnięte pięści. Nie wiem, czy jeszcze rok temu był na świecie gracz, który ustawiłby piłkę na wapnie, jedenaście metrów przed Tomaszewskim, a potem wziął rozbieg i zbliżył się do niej bez truciźny zwątpienia w sercu. A więc to, czego Tomaszewski dokonał na mistrzostwach monachijskich, nie przestało procentować. Ślad pozostał w psychice wszystkich żyjących piłkarzy.

Był również epizod w polu. Tomaszewski wybiegł na jakieś szesnastcie—osiemnastcie metrów z bramki i odbił nadlatującą bombę głową, wprost sprzed czoła atakujących przeciwników. Czy to również była nonszalancja?

Przeoczy.
— Nie pamiętam z kim wtedy graliśmy, Brazylią czy Węgrami. Wybiegłem, żeby uprzedzić napastnika, który szedł jak pocisk za piłką, która ciążyła ku ziemi, tak że miał szansę uderzyć z woleja, albo z pierwszego kozła. Z drugiej strony, błyskawiczna decyzja. Gdybym za linią pola karnego dotknął piłki ręką, złapał ją lub wypląstkował, sędzia musiałby podsygnalizować wolnego, a przy tej klasie przeciwnika rzut wolny z szesnastu metrów zawsze cuchnie bramką.

— Porozmawiajmy o Beerschot, wie pan: o tym hokejowym incydencie, który pokazywany był przez wszystkie stacje telewizyjne w Europie i świecie.
— Chce pan zobaczyć to od początku? Dokładnie?
— Z przyjemnością.

Tomaszewski włącza magnetowid. Widać już na ekranie wielką, powiększoną twarz mojego gospodarza, a na jej tle skromną sylwetkę frankojezycznego spikera. Nagle wchodzi małenka Ewa, za nią pies, zaczynają z lekka protestować, że co to? Jakies żarty? Nie lepsza byłaby bajka? Wiadomo. Nikt tak bajek nie lubi, jak dzieci i psy. Ale poczekaj, Ewa. Poczekaj. Tata musi coś panu pokazać.

— O, widzi pan? Najpierw mnie strzelono bramką.
Lubański w takiej sytuacji zdobył nagrodę Fair Play, przekakując po prostu nad duńskim bramkarzem. Ale ten gość z RWDM Molenbeck nie był Lubańskim. Poszedł za piłką jak mewa za błyskiem ryby i wykopał ją Tomaszewskiemu z rąk. Sędzia po chwilowym zawahaniu wskazał na środek. Wtedy się zaczęło. Nie poszkodowany bramkarz, tylko jego koledzy z Beerschotu wzięli sędzię w obroty. Najpierw poszturchiwali go i lżyli, potem któryś, nie panując nad nerwami, przyłożył mu w plecy. Wówczas wkraczają sam Tomaszewski i zachował się tak, jak życz sobie tego w szkolnych czytankach. Zaczął uspokajać kolegów, było tylko sędzia nie przerwał meczu. Cisza, panowie! Gramy, panowie! Do końca jeszcze daleko! Prawa, zachowana korkiem ręka, krwawi w zgięciu. Do dzisiaj nosi bliznę. Na pamiątkę i to piękna pamiątkę, bo potem, na sekundy przed końcem, był ten róg, a wiściwie dwa rogi, jeden po drugim.

Mówi:
— Moja bramka była pusta, a my wszyscy, dwudziestu dwóch, pod tą drugą. Teraz, niech pan patrzy!

Wyskakuje do piłki i przyklada głową, ktoś tam jeszcze dobiega po drodze i jest 1:1. Beerschot przeżywa swój orgazm radości. Tomaszewski ucieka jak kiedyś Pele przed entuzjastami Cosmosu. Dopedzają go. Po to chyba, żeby podrzucić do góry, ale ktoś tam dzwignię Tomaszewskiego! To on ich dzwignię. Hop! pierwszego na prawej ręce. Hop! drugiego na lewej. Trzeci rzuca mu się na szyję, także oczywiście z zadartymi nogami. Jest jeszcze czwarty, który przeważa szale, atakując jakos tak dziwnie, z boku. Tomaszewski stoi jeszcze przez moment niby ta wielogłowa, grecka płątanina ciał owinięta spiralał pętą, po czym wali się na murawę.

Rachuje: 4 x 80 czyli 320 kilogramów. Powinął przyznać mu zaocznie złoty medal. Za co? Za rekord świata w podnoszeniu ciężarów. Przecież więcej dzwignął niż ten Ruski.

Huczało w środkach masowego przekazu. Pięciu belgijskich bramkarzy próbowało skopiować manewr Tomaszewskiego. Przebakiwano o zmianie piłkarskich przepisów. Co zrobić z koszulkami szaleńczych bramkarzy, tak, aby ich barwa nie wprowadzała w błąd przeciwników?

3

Ciągnę już trzeciego scotch. Pijemy w kieliszkach, straight. Nagle zdaje sobie sprawę, że przed Tomaszewskim stoi ciągle ten sam, pierwszy i jedyny jak dotąd, kieliszek. Wówczas myślę: stop, bracie, bo się przetrucisz. On umie pić, ty nie umiesz. Wielu zresztą facetów nie umie, żeby już nie wspomnieć piłkarzy.

I podnoszą ten temat.
Tomaszewski:

— Po Wembley, kiedy byłem w kadrze i chodziłem z Górskim na przyjęcie, trener wiedział, że zawsze może wypić przy mnie kieliszek i że ja też mogę, czasami nawet dwa. Miał tę pewność, że ja pewnych granic nie przekroczyć, nie spoufałem się, nie rozluźniłem, nie zaniedbałem treningu, nie zacząłem wygadywać głupstw.

— Alkohol szkodzi!
— Nawet bardzo. Papierosy zresztą też.
Wydychuje kłęb dymu. Kiedyś palił Zefiry, teraz Dunhile. Mentolowe oczywiście.

— Miał pan w kontaktach z zawodowymi klubami klauzule odnośnie papierosów?

— Nie. Po prostu podpisując kontrakty — paliłem.
— Chciałbym rzucić teraz kilka pytań z różnych stron.
— Proszę.

— Jest pański ojciec kibicem sportowym?

— Ojciec zmarł przed rokiem.
— Przepraszam.

— ...i nie był kibicem,
— Ale doceniał pana?

— Od momentu, kiedy przyszło pod dom rodziców we Wrocławiu kilkuset studentów i zaczęło skandować moje nazwisko. Ojciec zrozumiał wtedy, że piłka to nie tylko piłka.

— Było to po meczu na Wembley?

— Tak.
— Po największym wydarzeniu w pańskiej karierze?

— Nie. Sukcesy rodzą się zwykle z porażek. Największym wydarzeniem w moim życiu było 1:3 z Niemiecką Republiką Federalną. Stałem się wówczas wielkim negatywnym bohaterem Polaków. Skreślono mnie. A ja pomyślałem: żeby mi się gryźć ziemię i pluć krew, wrócić jeszcze do reprezentacji, choćby tylko na jeden mecz.

— I wrócił pan?

— Jak panu wiadomo.

— A matka?

— Co: matka?

— W jaki sposób panu kibicuje?

— Matka podczas wszystkich moich ważnych meczów była zawsze w kościele i modliła się.

Pauza
— Czegoś żal — mówię.

— Czego?

— Że pan już nie gra.

— Nie wyglądam chyba na człowieka cierpiącego?

— Ach nie, skąd. Zastanawiam się tylko, kiedy to wszystko pękło.

— Z reprezentacją?

— Tak.

— Mogę panu powiedzieć... Przed rewanżowym meczem z NRD otrzymałem wiadomość od polskiego konsula w Madrycie, że mam się stawić na zgrupowanie w kraju. Zapytałem nazajutrz: — Panie konsulu, ale jadę po to, żeby grać, czy żeby siedzieć na lawce? — Usłyszałem: — Z tego, co wiem, żeby grać. — Mój kontrakt z Herculesem Alicante nie uwzględniał zwolnień na mecze w reprezentacji Polski, ale załatwiłem to jakoś. Przebrałem przez całą Europę, zjawiliłem się w Warszawie i natychmiast zrozumiałem, że nie zagram. Powiedział mi o tym naj-

do bramkarza pojęcie „trzech trików”. Pozostał za to precedens Stopy, zgodnie z rygiorem, trzymają się ziemi, ale tułów, głowa i ręce markują lekki skłon w prawo.



Foto: W. Porys

Tomaszewski, instancja ostatnia

ANDRZEJ MAKOWIECKI

bardziej kompetentny człowiek, aczkolwiek nie trener. Mimo to pojechałem do Katowic i wziąłem udział w ostatnich przygotowaniach. Wiedziałem, że to jest moja ostatnia szansa, że muszę walczyć do ostatniej chwili tak, aby udowodnić swoją formę. A byłem dobry, Wiadek Zmuda mówił, że lepszy niż kiedykolwiek. Po meczu Alicante — Real w Madrycie zebrałem doskonałą prasę. Nie napraszałem się jednak. Nie mam takiej natury. Unikałem kontaktów z Plechniczkiem, żeby broń Boże nie zdradzić urazy. Przed samym meczem w Lipsku, kiedy nie było już wątpliwości, kto broni, podgrzałem Józka Młynarczyka i przekazałem kolegom wszystkie uwagi na temat sędziego hiszpańskiego, który prowadził spotkanie. Z wygranej i awansu cieszyłem się jak inni. Ale na uroczystym bankiecie, kiedy Antoni Plechniczek wznosił toast i oświadczył: — Przyszłam wam, że wszyscy, cała siedemnastka z Lipska, pojedziecie do Hiszpanii — wstałem i powiedziałem: — Ja dziękuję, panie trenerze. Jeśli mógłbym o coś prosić, to chciałbym jeszcze zagrać w Łodzi przeciwko Hiszpanii, żeby właśnie tam pożegnać się ostatecznie z reprezentacją.

— Była to decyzja nieodwołalna?
— Tak.

Mówi, że wstąpił się, kiedy publiczność na stadionie LKS śpiewała: — Tomek wróć, czeka Łódź! Wystąpił w tej samej koszulce, w której przez wiele lat bronił tutejszych barw klubowych.

Nie rozmawiamy więcej na ten temat. W ogóle, o wielu innych, interesujących sprawach też nie rozmawiamy, bo zabrania nam tego delikatność.

4

Pytania

— Zgadza się pan, że piłka nożna jest w równej mierze sportem, bo gra, a więc sumą przypadków?

— Z pewnością. Dlatego właśnie tak trudno przewidzieć tu wynik. W każdym razie, znacznie trudniej niż w jakiegokolwiek innej dyscyplinie sportu, gdzie nie ma tego nieustannego, cięlesnego kontaktu z przeciwnikiem, i gdzie gra się ręką, nie nogą — instrumentem mniej precyzyjnym, aczkolwiek Brazylijczycy potrafili wiązać nimi krawaty.

— Kto zagra w hiszpańskim finale?

— Brazylija przeciwko RFN, i przegra, albo Brazylija przeciwko Hiszpanii, i wygra.

— Hiszpania byłaby wówczas w finale z wiadomych powodów?

— Tak.

— Osobiście odebrałbym tytuł mistrzów świata wszystkim drużynom, które zdobyły go na własnym boisku. W ostatnich latach — Anglikom, Niemcom i Argentyńczykom.

— Coś w tym jest.

— Wrócimy jeszcze do futbolu. Piłka to strategia i taktyka. bank informacji, wywiad, kontrwywiad, wielki biznes, jednym słowem: forma bezkrwawej wojny.

— Raczej bitwy.

— Niech będzie. Piłka to również ruchome widowisko baletowe. Zgadza się pan?

— Nie.

— Do czego by pan piłkę porównał?

— Do niczego. Piłka jest nieporównywalna.

— Nawet z innymi dziedzinami sportu?

MUNDIAL '82

Ci wspaniali mężczyźni

Postanowiłam być nowoczesna. Wszyscy dziś mają ekspertów, dlaczego ja mam być gorsza. Jacek Zemantowski ma w studio dwóch świetnych fachowców: Jana Tomaszewskiego i Kazimierza Górskiego. Jan Tomaszewski zadziwia trafnością ocen. Kazimierz Górski — wyrafinowana dyplomacja. Jak ma o czymś powiedzieć coś krytycznego, to będzie tak długo owijał to w bawełnę, że wszyscy przed telewizorami dawno już domyśliłi się o co mu chodzi, a on jeszcze owija. Ale to nawet miłe. Andrzej Makowiecki natomiast ma nad ręką samego Antoniego Plechniczka, może swoje opinie skonsultować ze Zbigniewem Bońkiem albo z Janem Ciszewskim. Ja, żeby utrzymać się w stylu, wybrałam sobie za ekspertów dwie kobitki: Grażynę O. i Dorotę Ch. I nie zawiadłam się na nich.

Pierwsza pochwaliła się swoim znajomym, że będzie moim konsultantem w meczu... Polska — Belgia.

— Nie będzieś — powiedzieli znajomi.

— A właśnie, że będę! — upierała się Grażyna O.

— A właśnie, że nie! — upierał się znajomi.

— A właśnie, że tak! — tupnęła noga Grażyna O.

— A właśnie, że nie, bo nie ma takiego meczu!

— Ale może być!

Przez chwilę myślałam, że Grażyna O. jasno widzi przyszłość, ale no meczu Polska — Włochy mam niejaki wątpliwość. Chyba, że chłopcy się rozegrają, ale muszą wtedy roznieść po drodze Peru i Kamerun. A toć Włosi nie będą zasypiali grzeszek w popiele. Póki co, obierzmy sobie pojedynkę Peru i Kamerunem. Też może być ciekawie.

Drugi mój ekspert, gdy się połączyłam z nim telefonicznie, oświadczył mi krótko: — Ale nudny. Po co oni ganiają no tej murawie? Lepiej by poszli zwiędzać zabytki. Ale nasz Plechniczek ładnie się prezentuje na tle innych trenerów!

Rece mi opadły. Belgowie pokonują byłych mistrzów świata. Polacy zaledwie remisują. Nie ma jeszcze dobrego futbolu, ale już są małe sensacje. Jan Ciszewski nie zawodzi — opowiada to, co chciałby widzieć na boisku, a nie to, co się na nim dzieje. U Hiszpanów z techniką nie jest najlepiej. Jeszcze nie słyszałam

— Nawet. W innych dziedzinach sportu można opanować do perfekcji stałe fragmenty gry, w piłce można najwyżej do tego dążyć, zawsze bez skutku. Wielkość piłki polega właśnie na tym, że jest tak straszliwie niedoskonała. Powtarzam: jest nieporównywalna.

— Nawet do sztuki?

— Nawet. W sztuce także rządzą stałe fragmenty gry. Scenariusz został napisany. W piłce scenariusz pisze na gorąco dwudziestu dwóch zawodników. Piłka to wielka improwizacja.

— Tak jak jazz?

— Powiedzmy.

— A więc istnieją jednak pewne analogie. Kiedyś widywało się pana na koncertach jazzowych. Poddaje się pan?

— Skoro się pan upiera...

— Kto wygrywa mecze: rzetelni wyrobownicy czy gwiazdy?

— Mecze wygrywają gwiazdy przy pomocy rzetelnych wyrobowników. Zespół pracuje na gwiazdę, która narzuca mu swój styl. Jeśli Widzew grał tak jak gra, to nie dzięki trenerowi, tylko dzięki Bońkowi, może mi pan wierzyć.

— Zgodziłby się pan z opinią, że to Bońek właśnie jest najlepszym polskim piłkarzem wszechczasów?

— Bez wątpienia. Wprawdzie mamy tu do czynienia z dyscypliną nietykalną, ale jeśli podsumować wszelkie Bońka osiągnięcia i atuty...

— No tak. A pan jest najlepszym polskim bramkarzem wszechczasów.

— Ja tego nie powiedziałem.

— Ma pan ambicje jako trener?

— Oczywiście.

— A więc kiedyś będzie pan trenerem reprezentacji?

— Tego też nie powiedziałem.

— Szkoda. Nareszcie miałbym chody.

Wstaje i zaczyna się zęgnąć. Zamówiłem się na godzinę, minęły bez mała trzy.

Czegoś żal, mimo wszystko.

Aha, nie widziałem bezpośredniej transmisji z Wembley, bo byłem wtedy w Azji. Wróciłem i mówię do ananosego: — Słuchaj, powiedz mi coś o tym meczu, jak to wszystko było i w ogóle.

A on na to:
— Było jak zawsze, kiedy gramy na obcym boisku. Permanentne obłożenie Czesłochowy z księdzem Kordeckim w bramce.

★ ★ ★

Pytanie zadaje CZŁOWIEK, KTÓRY POWSTRZYMAŁ ANGLIE.

Jak to się stało, że jadę do Hiszpanii?

Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Wstaje i zaczyna się zęgnąć. Zamówiłem się na godzinę, minęły bez mała trzy.

Czegoś żal, mimo wszystko.

Aha, nie widziałem bezpośredniej transmisji z Wembley, bo byłem wtedy w Azji. Wróciłem i mówię do ananosego: — Słuchaj, powiedz mi coś o tym meczu, jak to wszystko było i w ogóle.

A on na to:
— Było jak zawsze, kiedy gramy na obcym boisku. Permanentne obłożenie Czesłochowy z księdzem Kordeckim w bramce.

★ ★ ★

Pytanie zadaje CZŁOWIEK, KTÓRY POWSTRZYMAŁ ANGLIE.

Jak to się stało, że jadę do Hiszpanii?

Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji na pozór beznadziejnej. Moje asy: znajomość języka hiszpańskiego, dotychczasowa publicystyka zagraniczna i twórczość o tematyce sportowej. Cel: napisanie książki, którą wyda w trybie ekspresowym KAW oraz przekazanie relacji z Espana'82 „Odgłosom”, częściowo „na gorąco”, bo jak okazało się w kilka dni później, przyznano mi czterysta minut bezpośredniej łączności telefonicznej z redakcją. Specjalny numer zarejestrowany przez Ministerstwo Łączności, zostanie wydzielony w kanałach międzynarodowej komunikacji telefonicznej i podłączony do magnetofonu. Jeżeli nie miał awarii (odpukać!) za tydzień pierwsza korespondencja z ESPANA'82!

— Sprawa załatwiona została w ostatniej chwili, w sytuacji